KWARTALNIK
LITERACKI

KAMENA

1939 XV 1948

LUBLIN
CHEŁM
ROK IX (XV)

Nr 5-6

Wydawane z zasiłku i przy poparciu finansowym Ministerstwa Kultury i Sztuki

ROK IX (XV)

KAMENA

Nr 4–6 (78-80)

KWARTALNIK LITERACKI

Październik – Grudzień 1948 r.

TREŚĆ NUMERU CZWARTEGO – SZÓSTEGO

K. A. J.	Mały jubileusz . . .	str.	41
JÓZEF CZECHOWICZ	Po kąpieli	„	47
TADEUSZ BOCHEŃSKI	Szałas	„	47
TADEUSZ STĘPNIEWSKI	Rekuza	„	48
JAN KOPROWSKI	Ziemia	„	48
BRONISŁAW KAMIŃSKI	Śpiew idących na wojnę	„	49
STEFAN BALICKI	Dom wśród nocy . .	„	49
ZBIGNIEW SIEDLECKI	Wrocław	„	50
ROBERT STILLER	Niebo dwubarwne . .	„	51
FELIKS ARASZKIEWICZ	Krytyka essay'styczna Kazimierza Wyki . .	„	51
MIROSŁAW OCHOCKI	Klisza	„	54
	Klęska	„	54
	Tylko	„	54
	Bezradny	„	55
WŁADYSŁAW MACHEJEK	Nocą z lasu	„	55
MAREK ADAM JAWORSKI	Inwalida	„	56
	Człowiek i zwierzęta .	„	56
KLEMENS OLEKSIK	Kaleka	„	57
ANDRZEJ WIRTH	Wiosna	„	57
JANUSZ SKOSZKIEWICZ	Jesienią	„	58
	Tramwajarce	„	58
WALERY OSMENDA	Siła człowieka	„	58
HANNA KAWA	Męka mego brata .	„	59
TOMASZ ANDRZEJ LISTKIEWICZ	Południe	„	59
WACŁAW GRALEWSKI	Cień serca	„	60
KAZIMIERZ ANDRZEJ JAWORSKI	Przekłady z poezji rosyjskiej	„	64
TADEUSZ BOCHEŃSKI	Przekłady z Rigwedy i Goethego	„	79
TADEUSZ STĘPNIEWSKI	Przekład z Goethego	„	80
JÓZEF CZECHOWICZ	Przekłady z Sandburga	„	81
NOTY		„	82
KSIĄŻKI NADESŁANE		„	87

K A M E N A

KWARTALNIK LITERACKI

Rok IX (XV) październik — grudzień 1948 r. Nr 4-6 (78-80)

MAŁY JUBILEUSZ

We wrześniu r.b. upłynęło 15 lat od ukazania się „Kameny". Nie od rzeczy więc będzie w związku z tym skromnym „jubileuszem" odsłonić przed czytelnikiem okoliczności, w jakich rodziło się to pismo, które potrafiło utrzymać się w ciągu sześciu lat przedwojennych i po sześciu latach przerwy wznowiło w innych warunkach swą dychawiczną, niestety, dzisiaj działalność wydając obecnie osiemdziesiąty z kolei numer i pięćdziesiąty dziewiąty zeszyt.

Myśl wydawania pisma literackiego w prowincjonalnej dziurze liczącej podówczas trzydzieści tysięcy mieszkańców powstała w lecie 1933 r. na zebraniu towarzyskim, w którym wzięło udział kilku nauczycieli chełmskich interesujących się bliżej sztuką. Postanowiono opodatkować się na ten cel w wysokości 5—10 zł. miesięcznie, wybrano skarbnika i administratora w osobie malarza Zenona Waśniewskiego i redaktora — niżej podpisanego. Składki letnie i wrześniowe miały pokryć nakład pierwszego numeru, redaktor miał dwa miesiące na zmontowanie zeszytu. Wszedłem w kontakt z kolegami lubelskimi i wkrótce we wrześniu numer był gotów. Wytłoczyła go miejscowa drukarenka. W ten sposób uczyniliśmy krok pierwszy. Ambicją naszą było, żeby nowe pismo nie stało się efemerydą, która zamrze po kilku miesiącach, jak tyle już tego rodzaju prób w Polsce. Postanowiliśmy utrzymać „Kamenę" przynajmniej przez jeden rok, wydawać szczupłe numery, ale możliwie regularnie — 10 zeszytów rocznie z wyłączeniem miesięcy letnich: „Kamena", dziecko nauczycielskie, musiała też mieć wakacje.

Co się tyczy programu pisma, nie formułowaliśmy go na razie, w 10 dopiero numerze, w słowie od redakcji podsumowującym roczną działalność, określając swoje stanowisko. Był to okres walki awangardy ze skamandrytami, postanowiliśmy nie łączyć się z żadną grupą, oprzeć się na trzonie lubelskim, stopniowo powiększając liczbę współpracowników, których zapraszaliśmy z obu obozów. Ideowo stanęliśmy od razu po lewej stronie barykady, czemu niejednokrotnie dawaliśmy wyraz w doborze utworów literackich i różnych wypowiedziach aktualnych w notach. Od pierwszego numeru położyliśmy mocny nacisk na zbliżenie narodów słowiańskich i ich współpracę kulturalną.

W 209/32/4

Już w drugim zeszycie gościliśmy Jalu Kurka jako tłumacza futurystycznych wierszy włoskich i Światopełka Karpińskiego, w trzecim ukazał się Czuchnowski i Piętak, w czwartym Timofiejew i Brzękowski, w piątym, szóstym i siódmym żagaryści wileńscy, w tym samym siódmym Czernik rozpoczynający swym artykułem dyskusję rozwijaną później przez innych poetów na temat „treści i formy", w ósmym Jan Szczepański i Lewin, w dziewiątym Przyboś i Sergiusz Kułakowski, w dziesiątym poświęconym Mickiewiczowi z okazji 100-lecia „Pana Tadeusza" wystąpili już i pobratymcy — pisarze słowaccy i ukraińscy.

Eksperyment udał się, prasa odzywała się o „Kamenie" bardzo życzliwie, zasięg jej rósł z każdym miesiącem. Co prawda nakład był mały — 300 egzemplarzy, ale rozchodziły się prawie zupełnie.

Gdy dzisiaj wspominam tamte czasy i zastanawiam się, czym wytłumaczyć, że pismo nie tylko że nie upadło po kilku numerach, ale rozwijało się coraz bardziej, zdobywając coraz większą liczbę sympatyków i życzliwych współpracowników i z całą ufnością wkraczając w następny rok wydawniczy, przychodzę do wniosku, że widocznie pismo tego rodzaju było wówczas potrzebne. Przede wszystkim było niezależne, było jedynym miesięcznikiem poetyckim, bo „Skamander" nie został jeszcze wznowiony, a Czernik dopiero myślał o założeniu swojej „Okolicy Poetów", każdy mógł się tu wypowiedzieć swobodnie, a redaktor był czasem zbyt tolerancyjny. Opierało swój byt przede wszystkim na entuzjazmie i bezinteresowności wszystkich współpracowników, druk i papier był tani i nasze składki oraz dochód z rozsprzedanych egzemplarzy i prenumeraty wystarczał na pokrycie numeru. Poza tym byliśmy wtedy wszyscy młodzi.

Siłą rzeczy najwięcej pracy wkładać musieliśmy w „Kamenę" my obaj: nieodżałowany Zenek Waśniewski, prowadzący księgi rachunkowe, podpisujący pismo jako „wydawca" i zdobiący każdy numer swymi wkładkami linorytowymi, które stawały się coraz lepsze, oraz ja, jako redaktor, prowadzący obszerną korespondencję, nawiązujący kontakty i układający treść zeszytu. Ale myliłby się ten, kto by przypuszczał, że praca nasza ograniczała się tylko do tego. Drukarnia była bardzo prymitywna, dość powiedzieć, że maszynę drukarską wprowadzano w ruch ręcznie, obracając korbą, zecerzy — Żyd i Rosjanin nie znali dobrze języka polskiego, przekręcali wyrazy, popełniali liczne błędy, trzeba było czuwać nad nimi i przeprowadzać trzykrotną albo i czterokrotną korektę. W dniu tłoczenia numeru przebywaliśmy nieraz w drukarni do późnego wieczora. Pilnowaliśmy każdego arkusza uważając, by czcionki były dostatecznie oczyszczone, odbitka nie zanadto blada lub żeby nie dano zbyt wiele farby. A po otrzymaniu kompletu trzeba było wypisywać adresy na kopercie, a potem własnoręcznie odnosić egzemplarze na pocztę. Byliśmy wydawcami, redaktorami, korektorami, dozorcami zecerów, administratorami i chłopcami na posyłki w dwóch naszych osobach. Ale praca ta dawała nam dużo radości i zadowolenia.

Upływał rok za rokiem, weszliśmy w kontakt z poetami wszystkich środowisk, drukarnia sprowadziła nowe czcionki, wygląd ze-

wnętrzny pisma stawał się coraz bardziej estetyczny, przy miesięczniku powstała „Biblioteka Kameny", — tą nazwą firmowaliśmy książki wydawane nakładem własnym autorów, później równolegle arkuszowa „Mała Biblioteka Kameny", ukazało się wiele numerów specjalnych: słowiańskich, górskich, morski oraz zeszyt poświęcony współczesnej poezji francuskiej.

Przez cały czas sześcioletniego istnienia przed wojną „Kamena" opierała się głównie na własnym funduszu, dorywczo tylko i rzadko korzystając z pomocy Lubelskiego Związku Pracy Kulturalnej i Ministerstwa Oświaty. Dwukrotnie zwracaliśmy się z prośbą o zasiłek do Funduszy Kultury Narodowej, ale zawsze bezskutecznie: dla prof. St. Michalskiego byliśmy zbyt czerwoni (cóż! nie miał na imię Hieronim). Ale również trzeba dodać, że przez cały ten sześcioletni okres „Kamena" nie wypłaciła żadnego honorarium: wszyscy współpracowali bezinteresownie.

Że więc „Kamena" mogła w owych latach utrzymywać się tak długo i wychodzić regularnie, było to zasługą nie tylko tych dwóch osób, które jej wiele czasu i pracy poświęcali, ale wszystkich życzliwych współpracowników, którzy chętnie służyli radą i obficie nadsyłali do redakcji swoje utwory. Przez stronice „Kameny" przewinęły się prawie wszystkie znane wówczas i znane dopiero dzisiaj nazwiska. Spośród długoletnich przyjaciół „Kameny", którzy szczególną troską otaczali pismo, wymienić należy zamordowanego krytyka i poetę Stefana Napierskiego i niesłusznie stojącego obecnie w cieniu rusycystę Sergiusza Kułakowskiego. Numer francuski powstał dzięki dużej pomocy Zbigniewa Bieńkowskiego, do powstania zeszytu morskiego przyczynił się Zbigniew Jasiński, a górskiego — Jan Alfred Szczepański.

Wybuchła wojna. Redaktor znalazł się w obozie koncentracyjnym, a gdy z niego szczęśliwie powrócił, z kolei zajął tam jego miejsce wydawca, który, niestety, kaźni niemieckiej nie wytrzymał. I gdy w listopadzie 1945 r. ukazał się pierwszy numer wznowionej „Kameny", zabrakło w niej wielu dawnych współpracowników, którzy zginęli w czasie wojny, ale zabrakło przede wszystkim tego, którego pomoc przy wydawaniu pisma była tak potrzebna i pożyteczna: zabrakło Zenona Waśniewskiego i jego linorytów.

Nie chcąc być samowładcą ukonstytuowałem tak zwany zespół „Kameny", do którego oprócz mnie weszli: Jacek Bocheński i Jerzy Pleśniarowicz. Podpisywaliśmy i podpisujemy n-r: wydaje zespół „Kameny". W istocie jednak zespół był od samego początku fikcją: Bocheński pomagał przy drukowaniu dwóch pierwszych zeszytów, potem zajął się swoim „Światłem", wreszcie wyjechał do Warszawy. Cała pomoc Pleśniarowicza ograniczyła się do zamieszczenia krótkiej notatki w jednym numerze. Wszystko spoczęło na barkach jednego człowieka. Podstawy finansowe pisma po jego wznowieniu były kruche. Wprawdzie Ministerstwo Kultury i Sztuki od samego początku okazało mu wiele życzliwości, dopomagało mu w pewnych miesiącach i dopomaga ostatnio stale przez udzielanie subwencji, przy dzisiejszej jednak drożyźnie ta pomoc jest nie wystarczająca. Koszty druku w porównaniu z przedwojennymi są olbrzymie. Za druk np. czterdziestostronicowego

numeru czeskiego „Kameny" zapłaciliśmy 50.000 zł., gdy przed wojną kosztowałoby to nas najwyżej 200 zł. A papier, administracja, poczta? Już nie mówię o honorariach. Prace autorów w ostatnich numerach nie mogły już być honorowane nawet tak skromnie, jak to było na samym początku. Dochód z rozsprzedaży jest nikły, gdyż za kolportaż trzeba płacić 45% od ceny numeru i określoną stawkę za zwrócone egzemplarze. Pismo ukazuje się bardzo nieregularnie, co nie zachęca do prenumerowania go. Słowem, wegetacja.

W takich warunkach trudno o współpracowników. Zwracałem się do wielu dawnych sympatyków „Kameny", każdy coś obiecywał, ale na tym się kończyło. I ostatecznie trudno się dziwić: tygodniki literackie płacą przecież dzisiaj i płacą dobrze, każdy więc woli utwór swój spieniężyć tak, by jak najwięcej za niego otrzymać. Przedwojenna bezinteresowność współpracowników tłumaczyła się tym, że wielu z dzisiejszych znanych stawiało dopiero pierwsze kroki i zależało im na tym, by ujrzeć swe utwory w druku nawet bez honorariów. Poza tym nie wszędzie **mogli** drukować i nie wszędzie **chcieli**. Dziś to wszystko wygląda inaczej.

Powstaje więc pytanie: czy wydawać w dalszym ciągu „Kamenę"? W takich warunkach, jak obecnie, raczej nie. Dopóki pismo nie stanie na mocnych podstawach finansowych — i nie będzie mogło należycie honorować współpracowników, dopóty zdane będzie na korzystanie z przypadkowego materiału nadesłanego przez „uprzejmość". Dopóki nie pozyska najlepszych piór poetyckich, dopóty będzie miało niewielu odbiorców, a więc mało dochodu. Trudno liczyć na wydajniejszą pomoc ze strony Ministerstwa Kultury i Sztuki, które i tak czyni w tym kierunku wiele. Pismo w zasadzie powinno być samowystarczalne, jakim prawie że było w okresie przedwojennym.

Wniosek: „Kamena" powinna zdobyć inne podstawy finansowe. Czy w Polsce potrzebne jest pismo tego rodzaju? Na pewno tak. Słusznie pisze o tym A. Włodek w Nr 78 „Dziennika Literackiego": „Kamena"... winna stać się ośrodkiem poezjotwórstwa polskiego. Mogą mieć swoje pisma członkowie związku zawodowego pracowników poligraficznych, mogą mieć swoje pismo szoferzy — dlaczegożby odmówić tego prawa poezji i poetom... „Kamena", wychodzące bardzo nieregularnie pismo, stanowiące wynik dobrej woli, lecz również potknięć jednego tylko człowieka — może stać się bazą ogólnopolskiego ruchu poetyckiego. Piękne jej tradycje i potrzeba naszego czasu stanowią pewną gwarancję". Często słyszy się utyskiwania, że tygodniki literackie traktują poezję po macoszemu, że zbyt mało poświęcają jej miejsca, nie zamieszczają recenzyj z ukazujących się zbiorków itd. „Twórczość", choć uwzględnia na swych łamach poezje, nie jest pismem poetyckim. Czesi mają „ Kytice" i „Kvart", myśmy mieli przed wojną kilka pism poetyckich wychodzących jednocześnie, dlaczego dziś nie może utrzymać się jedno? I utrzymałoby się z pewnością oparte na innych podstawach finansowych. Jakich? Trudno to powiedzieć. Jeden człowiek nie poradzi. Gdyby grono miłośników poezji i poetów pragnących, by w Polsce ukazywało się jedyne pismo poetyckie, choćby kwartalnik, mogło zorganizować spółdzielnię poetycką, która z czasem mogłaby również wy-

dawać zbiorki wierszy... Nie wydaje się to takie nierealne, trzeba tylko znaleźć ludzi dobrej woli i przedsiębiorczych. Albo mogłoby być ambicją którejś ze spółdzielni wydawniczych — „Czytelnika", „Książki" czy „Wiedzy", aby tego rodzaju kwartalnik, a może i miesięcznik wydawać... To również nie jest pomysł fantastyczny. Zamiast tworzyć nowy, po prostu przejąć „Kamenę", która choć na to zachowanie tytułu za swą długoletnią pracę i „piękne jej", jak mówi Włodek, „tradycje" zasłużyła. Stworzyć prawdziwy, nie fikcyjny zespół „Kameny" z redaktorem naczelnym-poetą. Niżej podpisany nie rości sobie bynajmniej pretensyj do tego, by objąć to stanowisko, zadowoliłby się chętnie miejscem w zespole i kierownictwem działem poezji słowiańskiej. Chodzi mu bowiem tylko o jedno: uratować „Kamenę".

Czy o tym wszystkim nie warto by pomyśleć?

K. A. J.

UTWORY ORYGINALNE LUB PRZEKŁADY NASTĘPUJĄCYCH AUTORÓW

zawiera sześć przedwojennych roczników „Kameny":

Franciszka Arnsztajnowa, Aleksander Baumgardten, Stefan Bardczak, Stanisław Bąkowski, Emil Biedrzycki, Adam Bielecki, Konrad Bielski, Zbigniew Bieńkowski, Tadeusz Bocheński, Antoni Bogusławski, Halina Brodowska, Władysław Broniewski, Antoni Brosz, Jan Brzękowski, Janina Brzostowska, Teodor Bujnicki, Anna Chromińska, Józef Czechowicz, Wawrzyniec Czereśniewski, Henryk Czerkies, Stanisław Czernik, Marian Czuchnowski, Olga Daukszta, Witold Degler, Adolf Dicker, Stanisław Ryszard Dobrowolski, Henryk Domiński, Wołodymyr Doroszenko, Władysław Donarowski, Ignacy Fik, Kornel Filipowicz, Aniela Fleszarowa, Józef Andrzej Frasik, Ignacy Gąsior (Ignacy Igoń), Jerzy Gieysztor, Lew Gomolicki, Antoni Gronowicz, Wiktor Gwoździewski, Edwin Herbert, Paweł Hertz, Tadeusz Hollender, Wacław Iwaniuk, Alicja Iwańska, Jan Iwański, Juryj Iwask, Czesław Janczarski, Bruno Jasieński, Zbigniew Jasiński, Mieczysław Jastrun, Kazimierz Andrzej Jaworski, Wanda Karczewska, Światopełk Karpiński, Witold Kasperski, Zdzisław Kempf, Józef Nikodem Kłosowski, Jadwiga Korczakowska, Piotr Korzuch, Jan Kott, Władysław Krygowski, Sergiusz Kułakowski, Jalu Kurek, Stanisław Jerzy Lec, Wacław Lednicki, Leopold Lewin, Leo Lipschütz, Mieczysław Lisiewicz, Mieczysław Lurczyński, Alfred Łaszowski, Józef Łobodowski, Antoni Madej, Ludwik Maj, Kornel Makuszyński, Hanna Marczewska, Józef Maśliński, Ryszard Matuszewski, Wiktor Matyszczuk, Stanisław Mecziar, Wanda Melcer, Aleksander Messing, Bronisław Ludwik Michalski, Hieronim Michalski, Anatol Mikułko, Witold Mileski, Jan Nepomucen Miller, Czesław Miłosz, Józef Mondschein, Czesław Morawski, Wacław Mrozowski, Felicja Nadrzecka, Kazimierz Namysłowski, Stefan Napierski, Konstanty Narkiewicz-Jodko, Anna Nieławicka, Nora Odlanicka, Jan Bolesław Ożóg, Stanisław Papierkowski, Leon Pasternak, Marian Pie-

chal, Jerzy Pietrkiewicz, Włodzimierz Pietrzak, Stanisław Piętak, Lech Piwowar, Jerzy Pleśniarowicz, Władysław Podstawka, Seweryn Pollak, Zdzisław Popowski, Julian Przyboś, Jerzy Putrament, Mirosław Stefan Radecki, Julian Rogoziński, Anatas Rusew-Sam, Aleksander Rymkiewicz, Jerzy Mieczysław Rytard, Ludomir Rubach, Artur Rzeczyca, Roman Sadowski, Artur Sandauer, Tadeusz Sarnecki, Bruno Schulz, Marcin Seweryn, Władysław Simonberg, Włodzimierz Słobodnik, Józef Sroga, Mieczysław Stryjewski, Franciszek Surówka-Brzegowski, Stefan Szajdak, Jan Szczepański, Jan Alfred Szczepański, Maria Szczepańska, Adam Szczerbowski, Mieczysław Szczuka, Lola Szereszewska, Jan Śpiewak, Ludwik Świeżewski, Anna Świrczyńska, Grzegorz Timofiejew, Stanisław Ton, Stanisław Kazimiera Trawkowski, Kazimierz Truchanowski, Stanisław Turczyn, Julian Tuwim, Zenon Waśniewski, Jadwiga Ważewska, Adam Ważyk, Jerzy Kamil Weintraub, Bronisław Wieczorkiewicz, Julia Wieleżyńska, Helena Wielowieyska, Kazimierz Wierzyński, Bronisław Krystian Wierzejski, Julian Wit, Jan Wolff, Zofia Wolnik, Jan Wydra, Stanisław Wygodzki, K. W. Zawodziński, Tadeusz Zalenay, Julian Żuławski.

BIBLIOTEKA „KAMENY"

Nr 1 Sergiusz Jesienin: Wybór poezyj; przełożył K. A. Jaworski. 1931.
Nr 2 Aleksander Błok: Ogród słowiczy i in. wiersze, przełożył K. A. Jaworski, linoryty Z. Waśniewskiego. 1934.
Nr 3 Sergiusz Jesienin: Spowiedź chuligana i in. poezje, przełożył K. A. Jaworski, linoryty Z. Waśniewskiego. 1935.
Nr 4 Aleksander Błok: Wiersze włoskie, przełożyli K. A. Jaworski i J. Łobodowski, linoryty Z. Waśniowskiego. 1935.
Nr 5 Stefan Napierski: Liryka niemiecka, przełożył Stefan Napierski. 1936.
Nr 6 Mikołaj Gronskij: Belladona, przełożył K. A. Jaworski, linoryty Z. Waśniewskiego. 1936.
Nr 7 Zdzisław Popowski: Pieśni uroczyste. 1936.
Nr 8 Olga Daukszta: Walet kierowy. 1937.
Nr 9 Kazimierz Andrzej Jaworski: W połowie drogi. 1937.
Nr 10 Jerzy Kamil Weintraub: Próba powrotu. 1937.
Nr 11 Stefan Napierski: Poeci niemieccy, 1938.
Nr 12 Mieczysław Lurczyński: Pieśni buntownicze. 1938.
Nr 13 Stanisław Bąkowski: Drwal i niedźwiedź. 1938.
Nr 14 Anna Nieławicka: Definicje. 1938.

MAŁA BIBLIOTEKA „KAMENY"

Nr 1 (A) Stanisław Kazimiera Trawkowski: Młodość niespokojna. 1938.
Nr 1 (B) Jan Smrek: Wybór poezyj, przełożył K. A. Jaworski. 1938.
Nr 2 (B) André Breton i Paul Eluard: Uwagi o poezji, przełożył Alfred Wizner. 1939.

Sześć przedwojennych roczników „Kameny" składa się z 60 numerów w 50 zeszytach i zawiera 1232 str.

Trzy powojenne roczniki „Kameny" składają się z 20 numerów w 9 zeszytach i zawierają (nie licząc zeszytu niniejszego) 364 str.

PO KĄPIELI

świergocą ptaki przypadają do rąk
plącząc lotów koronki
od rzeki po słońcu łąk
niosę włosów mokre strąki

blisko do wsi starych drzew
stogów siana i ryku bydła
gdzieś stronami nawałnic gniew
trzęsie chmury na złotych widłach

wykąpane ciało tak gra
że o niczym myśleć się nie chce
ale gaśnie słoneczna mgła
na blaszanych kopułkach na cerkiewce

ano bądźże już burzo i dżdżu
poroś trawy spryskane jaskrami
oraz miedze oraz bruzdy i tu
gdzie jarego żyta aksamit

przyjdziesz pójdziesz a tęczy cios
wilgoć wyssie z kałuż nierączo
i osuszę osuszę włos
niestrudzoną piosenką skowrończą

JÓZEF CZECHOWICZ

(Przypominamy tu mało znany, jeden z ostatnich wierszy poety, zamieszczony w majowym n-rze łódzkich „Wymiarów" w r. 1939. Utwór ten nie wszedł do „Nuty człowieczej").

SZAŁAS

Nieochoczo szałasowi,
szczaw naokół więdnie.
Ale co smrek, to rodowy,
pnie jak wieża tęgie.

Trochę szczawiu i paproci
ściąłem na posłanie.
Drwa gromadzę, nim się zmroczy
i zimno nastanie.

U zachodu i po szczytach
żółć się rozpostarła,
potem ruda rozmaita
i na koniec — szkarłat.

Ale zsiniał, sfiołkowiał,
zgasł — i góra zamrze.
Cóż, szałasie śród pustkowia,
tęskno ci? Mnie także.

TADEUSZ BOCHEŃSKI

REKUZA

(Po przeczytaniu „Dymów nad Birkenau" Seweryny Szmaglewskiej).

„Niech Twa Jasna Wielmożność łaskę mi uczyni",
Tak rzekłem w gorzkiej chwili do znajomej świni:
„Oświecił mnie Oświęcim! Mierzi mnie i kala
Już sama nazwa: „człowiek", i spać nie pozwala...

Jakbym wychylił czarę zatrutego błota,
Dławię się ludzkim brudem... Wasza świńska cnota,
Zaczerpnięta z koryta, wypieszczona w chlewie,
Może nowe roznieci w piersi mej zarzewie.

Więc przyjmijcie mnie, świnie, do swojego grona!...
Chcę być świnią! chcę czerpać ze świńskiego łona
Nowy zasób nadziei!... Stworzenie bezdomne,
W waszym chlewie, że byłem człowiekiem, zapomnę!..."

Świnia słucha i chrząka, i łeb spuszcza smętnie:
„Ciebie, drogi poeto, przyjęłabym chętnie;
Byłbyś świnią wzorową... Lecz, widzisz, to bieda,
Że za tobą twych braci wnet przyjdzie czereda,

Boć przecie żyć w chlewiku zaszczytną dziś rzeczą!
Splugawią nasz świat świński, splamią, zaczłowieczą,
Że ze wstydu pod ziemię trza się będzie schować!
Daruj więc, — lecz my, świnie, musim się szanować..."

TADEUSZ STĘPNIEWSKI

ZIEMIA

Kiedy widzę mojego ojca,
jak za pługiem idzie przez pole,
Jego twarz ogorzałą od słońca
i plecy, które bolą — —

Kiedy widzę matkę moją
zakrzątaną od rana do nocy.
Jej twarz pełną niepokoju,
zmęczone oczy — —

Wtedy wiem: to ziemia wchłania
matczyn pot i trudy ojca.
Ziemia — ziemia — otwarta rana,
swoja, nieobca.

Dla tej ziemi oddać wszystko.
Ziemia bierze — ziemia nie pyta.
Ziemio, ziemio — złota iskro,
w trudzie będziesz rosła i kwitła.

Ojciec odda całego siebie,
nawet kości swoje w niej złoży.
Na jego sercu ziemia porośnie,
zachrzęści zbożem.

Matka mgłą się rozsnuje po polu,
ziemię rosa otuli słodko.
To nic, to nic, że ziemia boli.
Ziemio, ziemio — ojczyzny oko.

JAN KOPROWSKI

ŚPIEW IDĄCYCH NA WOJNĘ

Może w chwili, gdy gałęzie dębu wyrastają ze stołów dotkliwiej niż
[ból ziemi zranionej bagnetem,
w chwili, gdy ludzie na cierpieniu wieszają uśmiech
pierścionek serdeczny z rubinu i krwi,
któremu rzeźbiarz medejczyk wyrył pochwałę radości,
opasał, palec kobiety stworzonej z nuty zakwitającego lotosu,
do którego Hindusi przywiązują oczy boga i jego tajemnice —

oto my, ludzie rzeczywiści,
którzy posiadamy nogi, ręce, język i brzuch
i inne narządy, o których pisać tu nie wypada,
chwalimy cierpienia i błogosławimy śmierć,
albowiem ona jest naszym wybawieniem.

Gdy od sufitu zwisa karykaturalna bryła trupiej czaszki,
wiemy, że to nasz uśmiech
i że po morzach płyną okręty ku wyspom i ku lądom obcym
jak my
ku
śmierci.

BRONISŁAW KAMIŃSKI

DOM WŚRÓD NOCY

Wicher tańczył wraz z deszczem w liści cmentarzyskach,
Tarzał się po ugorach, zawodził po rżyskach,
Konary drzew kołysał ciągnąc je z uwięzi,
Szarpał z wściekłością włosy jęczących gałęzi
A psom z sierścią zjeżoną skulonym pod płotem
Złowróżbne wycia wpychał do gardła z powrotem.

...Dom wśród nocy stał smutny pod żałobnym mrokiem,
Patrząc w pustkę jesienną jednym drżącym okiem,
Bił go wicher po plecach, urągał w kominie
Więc płakał dom wśród nocy kroplami dżdżu w rynnie...

Nagle strzelono z bicza! Mlasły koła w błocie,
Zadrżały szklanie szyby w końskich nóg stukocie,
Już zsiedli. Stuknięto. Klucz zgrzytnął. Blask świecy.
Pocałunki. Szum głosów męskich i kobiecych.
Zdławił ktoś blask raptem! Wgniótł w dom śmiech, oklaski.
To wiatr zły, bezlitosny drzwi zamknąwszy z trzaskiem
Znów zczaił się, szyb dopadł jednym chciwym skokiem.
Lecz już tam jasne smugi biły z wszystkich okien,
Drżąc od głośnych śmiechów, dygocąc od tanów
Sale rozbrzmiały gwarem basów i sopranów,
Błyszczały rzędem okien z zwycięską radością
Na przekór wyciom wichrów, słocie i ciemnościom.

Rad z miłych mu gości, pełen nowej mocy
Tańczył, pił i śmiał się dom wśród ciemnej nocy.

1943 r. STEFAN BALICKI

WROCŁAW

Ku zachodowi dzień
chyli się razem z ruinami domów
w niezmienną głąb mijającego czasu,
z której bezczelnie błyska świeży szyld.

Apostrofy spółdzielni i szkół
w opowieści pełnej wykrzykników
tętnią, tętnią wieczornym nakładem
dnia, który jutro przyjdzie znów.

Opada przepalony tynk,
chylą się zrujnowane ściany — —
lecz poprzez wszystkie dzielnice miasta
czuję Odrę zbliżającą się do wrót.

Nadciąga wiosna zielona i wonna,
która burzy serce ludzkie o wiele piękniej,
niż wnętrza spokojnych miast
nadciągająca linia frontu.

Drgają struny napiętych szyn —
niesie się rytmiczny stukot pieśni
o mieście, które kochało się niegdyś,
a które dziś pokochać można znów.

Powieki zmęczone podróżą
chcą licznymi wędkami rzęs
na przynętę znużenia
ułowić długą, ciężką rybę snu.

Wrocław, 24 marca 1946

ZBIGNIEW SIEDLECKI

NIEBO DWUBARWNE

Odwieczny strach wieczorny.
Nie pastw się nad nami.
Liliowoszary ornat
Zgęstniał nad ruinami.

Widzi się to daleko
Jednak nie wyżej oczu.
Pozioma ruda rzeka
Przez nieba strome zbocze.

Porażki zuchwałe były.
Zwolna i niebezpiecznie
Zapachnie ponad siły
Pręga rozstań i nieszczęść.

Wichrząc ogniste brzegi
Krzepną lila kontury:
Warto pożegnać na wieki
Te: miasta czy chmury.

Nieba ciężka błona
Czeka na koni kopyta.
Za smugą, która kona
Stoi nocy hoplita.

ROBERT STILLER

KRYTYKA ESSAY'ISTYCZNA Kazimierza Wyki

Ograniczam się do omówienia tomu rozważań i recenzji wydanych pt. „Pogranicze powieści" (M. Kot, Kraków, lipiec 1948). Z miejsca trzeba stwierdzić, że zawsze interesujące studia Wyki, czytane na gorąco w prasie literackiej, teraz w wydaniu książkowym nie tylko nie zbladły, lecz — przeciwnie — nabrały silniejszych rumieńców, stały się wydaniem o pierwszorzędnym znaczeniu dla tworzących obecnie pisarzy i dla czytającej publiczności.

Wyka obraca się równie swobodnie wśród bonzów literackich, w kapliczkach kierunków ideowych i artystycznych, jak w dziedzinach współczesnej wiedzy o literaturze i w problematyce społecznej dzisiejszych czasów. Jako krytyk-publicysta, żywi się solidnie doświadczeniem wrażliwego obywatela i do-

robkiem naukowym zdyscyplinowanej myśli czujnego profesora historii literatury. Nie improwizuje i nie bawi się we wrażenia. Myśli, obserwuje, doświadcza, próbuje, szuka, nie uprzedza się, postuluje, nie narzuca swych koncepcji, wyciąga wnioski z konkretnych faktów, nie przymierza teoryjek do rzeczywistości artystycznej, wytycza linie rozwojowe na podstawie tej rzeczywistości w konfrontacji z prawdą stającego się życia. Jest nie tylko jasny, zrozumiały, ale także ciekawy, pociągający niespodzianką myśli, sformułowań, zaskoczeniem składni i stylu, lekką ironią — słowem: formą swych wypowiedzi.

Tom „Pogranicze powieści" stoi na pograniczu wiedzy i sztuki. To jest właśnie essay. Essay realistyczny, który tworzy „konstrukcję niespodzianki przyrządzonej przez samą rzeczywistość", w tym wypadku — dzieła literackiego i prozy. Myśl Wyki „szuka, próbuje, błądzi" u pionu zasady głównej: „sztuka jest rzeczywistością widzianą przez formę". Zasadę tę wyprowadza z obserwacji żywotnych tradycji prozy polskiej (Żeromski, Reymont, Prus), z dociekliwej *metody* badawczej Karola Irzykowskiego, z postawy filozoficzno - literackiej Romana Ingardena. Wyprowadza, lecz nie naśladuje i nie utożsamia.

Essay Wyki przekonywa myślą i zniewala stylem, czasem tak dalece, że trudno się połapać w jego „wyznaniu wiary". Robi wrażenie adogmatycznego, zupełnie przeciwnie, niż Stawar, Kott, a szczególnie Żółkiewski ze współczesnych nam wybitnych publicystów literackich. A przecież widać wyraźnie, że doskonale się orientuje w „dogmatach" idealistycznych i materialistycznych, formalistycznych i socjologicznych.

Mam wrażenie, że zasadą krytyczną Wyki jest przede wszystkim *cierpliwość* wobec rozwoju talentu, prądów i kierunków artystycznych. Wyka wie, że nie można przeskoczyć pewnych faz kulturowo-socjalnych i biologiczno-psychicznych w prozie—sztuce, która nie może i nie powinna być prostacką tendencją lub wprost propagandą. Analizując żywotne tradycje prozy polskiej końca XIX wieku i międzywojennej („Tragiczność, drwina i realizm"), wydedukował — z faktów, nie ze swych teoretycznych założeń, — że dzisiaj „maska wyłącznie tragiczna i wyłącznie drwiąca odpadły z naszej twarzy", że „realizm czeka na wszystkich" po doświadczeniach lat 1939—1945.

Jaki realizm? Są trzy: z pasji satyrycznej (Balzac, Flaubert), z obiektywnego szacunku (L. Tołstoj), rozcieńczona epopeja (Dickens, Turgeniew, Prus), — wszystkie zależne od sprzeczności tkwiących w ustroju kapitalistycznym. Więc dziś się rodzi jakiś inny, nowy, bo „ma się już pod koniec starożytnemu światu, bogi i ludzie szaleją".

W dzisiejszej literaturze nie obserwujemy walki młodych ze starymi, wszyscy chcą *„wiedzieć,* w prosty, ludzki sposób

rozumieć"; „wchodzimy w okres przewagi prozy, ściślej powieści", nie chcemy „prymatu wyrazu", ekspresji, pragniemy *konstrukcji*, a konstrukcja jest formą życia i tworu artystycznego, nie wymieniamy zatem form nie przeżytych", „nie wyegzorcyzmujemy" tedy i... egzystencjalizmu.

Rolą krytyka: inkubacja. Czego? Czystości gatunków prozy, bo „realizm w temacie, w treści, to żądanie bardzo wielorakie i nie dające się sprowadzić do kilku jasnych wskazówek, natomiast *czystość* i *precyzja* gatunku daje pisarzowi instrument *formalny*, pozwalający zgłębić rzeczywistość w sposób sprawdzalny również od strony narzędzia formalnego, jakim dany pisarz się posłużył", bo „gatunek i precyzja narzędzi mówią zawsze o rodzaju i wartości zdobytego doświadczenia, więcej — warunkują tę wartość w każdej dziedzinie twórczości".

Dlatego właśnie zbiór essayów Wyki nosi tytuł „Pogranicze powieści", oczywiście, współczesnej, nie ma bowiem jeszcze *istotnej* powieści współczesnej, czekamy na nią, na jej obiektywny konstruktywizm realistyczny w treści i formie.

Stwierdzenie tego faktu znajdujemy w części drugiej książki, pt. „Sprawdzenia". Krytyk-essayista sprawdza tu cierpliwie na obszernym materiale faktycznym dorobek prozy powojennej w zestawieniu z częścią teoretyczną, zawartą w dziale pt. „Zapowiedzi i postulaty". Zresztą, ta część teoretyczna, to także nie dogmaty, to nie „na początku było słowo", ale analiza zdań socjo-bio-kulturo-literackich, zamkniętych w bagażu tradycji rozwojowej.

Czyżby to był jakiś wybieg pseudo-obiektywizmu krytycznego? Jakieś przebiegłe zamaskowanie ukrytego „dogmatu"? Nic podobnego. To po prostu rzetelność intelektualna i poczucie odpowiedzialności. To *oczekiwanie* na moment, kiedy niespodzianka życia realnego znajdzie konstrukcję niespodzianki artystycznej, konkretnej i prawdziwej, zatem *jednocześnie* indywidualnej i typowej. Jesteśmy między Juliuszem Petersenem a Iwanem Winogradowym. Wyka pracuje dla polskiego realizmu. „Proza — to materiał, z którego różne formy się tworzą. Majster może krój spartaczyć, ale dobry *materiał* pozostaje zawsze dobrym materiałem". Wzór prozy — materiału to Prus („zamiast tendencji, realny wygląd problemu", „Faraon — to powieść stanowczo niedoceniona, najlepsza historyczna powieść polska"), to — „Medaliony" Nałkowskiej i „Ludzie stamtąd" Dąbrowskiej, to — Iwaszkiewicza świat, który się „w jego dziele krząta coraz mocniej koło swoich spraw".

Wolałbym, gdyby tytuł książki brzmiał „Pogranicze powieści i sprawa prozy", odpowiednio do dwu najważniejszych studiów w niej zawartych. I gdyby jeszcze spojrzał Wyka swym okiem krytycznym na „powieść" powojenną, którą nazywamy literaturą drugiej klasy. Ze względów socjologicznych i kulturowych, a więc i estetycznych.

6.IX.48. FELIKS ARASZKIEWICZ

KLISZA

Kliszo najczulsza — kliszo wierna
przechowująca groźne dzieje
niezmartwychwstałych. Ich krwi czerwień
los w głuchej ziemi roprowadził
pod czarnym niebem — i nadzieję
w śmieszny, nieważki popiół zmienił.

Plecami wsparty o noc, dłonie
na dniu, jak na klawiszach kładę.
Słońce osiada znów na skroniach
i życie leczy swą harmonią:
zieleń porasta barykady
od śmierci żyzne. Ale pierwej —
nim z dnia dobędę głos historii —
moje wzruszone, drżące ręce
chowają cię w zanadrze serca
kliszo najczulsza — kliszo wierna!

MIROSŁAW OCHOCKI

KLĘSKA

O, noce — dwie noce wiosenne
Zderzone ze sobą. W ich blasku
W zdmuchnięty wkraczam czas,
W rozwarty wiatrem dom, gdzie trwasz
Umarła —
nie by pod nocą wiosenną
W przewianych pustką pokojach, gdy parkiem
Starym szum idzie — twą nagle zjawioną
Postać otoczyć i dawne marzenie
Pić, jak się z źródła pije, kiedy złote pasma
Włosów twoich opadną i przesłonią wargi
Nasze, złączone nad stołem kamiennym —
Lecz, by twarz twoją mroczną i widmową
Dźwignąć na chwilę i wielkie milczenie
Twych źrenic zwrócić na nasz stół kamienny,
Na którym dwie dłonie wzniesione
Wspierają siwą głowę,
Wstrząsaną płaczem.

MIROSŁAW OCHOCKI

TYLKO

Tylko w głębokim cieniu powiek
Przymkniętych szczelnie — za ich ciszą —
Wnoszę cię w strome słońce wiosny,
W wysokie szumy bujnych dni.

Otwieram północ. Noc na globie
Przesuwam aż po krawędź rzęs.
Ciemność rozpruwa ciężkie drzwi:
Z mroku, w posępnym blasku włosów,
Poza uśmiechem, kształtem łez
Tamtych, w przewianych nocą oczach —
Już cię ramieniem nie otoczę,
Już nie wywołam twego głosu
I twarzy z cienia. W ramach złoceń
Zdmuchniętych twój daremny gest.
Gaśniesz pod trudną barwą nocy.

Dziś, gdy pytanie i odpowiedź
Życia znajduję w słońcu, w ciszy,
W wysokich szumach wiosny, dzisiaj —
W cieniu przymkniętych, drżących powiek...

MIROSŁAW OCHOCKI

BEZRADNY

W czarnym hamaku nocy, który zawieszony
na gwiazdach, jak na dźwiękach, cieniem zszywa wszechświat
zanurzam ostrą pamięć. Ale stroma cisza
płynie przeze mnie srebrem i znów oszronione
ślady dawnych stóp twoich drżą na moich rzęsach
jak zwierciadła tęsknoty. W nich księżyc rozplata
muzykę jasnych włosów, które niegdyś kładłaś
jak słowo na me wargi. W czasie przemieniona
gorzkim — na wonie ziemi, na powietrza struny
z modrej kropelki śniegu uśmiechasz się do mnie —
spływasz na moje oczy ósmą barwą tęczy.
I zaczerpnąwszy w dłonie, tkane z szkła złotego
(tak, jakby niebo czerpał) twą rozchwianą postać
kładzie się czuły księżyc na umilkłych gwiazdach.
Więc bezradny przyklękam na jedno wspomnienie —
na aksamicie nocy — i w dłoniach kołyszę
śniegową łzę.

MIROSŁAW OCHOCKI

NOCĄ Z LASU

Gdy tak po dolinach gwiazdy, jak ślaz,
gdy w zbożu owijaki mam ze słomy,
wiem — — —
w snopy powiązano lipcowy czas,
kręcąc, jak powrósło, nocy niewybuchły płomień.

Po rosie pluski zwycięstw dopłyną...
Wznosi się, pulsuje okręt zwycięstwa,
wiatr i mgła.
Orna fala na dolinie
ściernisk dokłada na przęsła.

Okolicę szum poderwał od półnagich pagórków.
Przywarował. Uciął u kamiennego pnia.
A ja za chwilę
oddam ciszę do krwawego druku,
szukam wroga, jak straconego dnia.

A kiedy noc ze wzniesień ciemnych się odwija,
brzegi są dalekie i nie bystrzą napływem,
przeszywa na krzyż łozina.
Ten szumiący od łąk krzyż mię mija,
kładką do lasu go nazywam.

WŁADYSŁAW MACHEJEK

INWALIDA

Bez nogi i bez ręki,
— urwane w Kołobrzegu, —
łatwo je pozostawić
na topniejącym śniegu...

I dzisiaj słodko błękit
wybiega mu naprzeciw,
a order pierś ozdabia,
na którą patrzą dzieci.

Dziewczyny piwne oczy
polecą — lecz nie za nim...
Dziewczyny zgrabne nogi
z kim innym pójdą w tany...

Więc po co patrzeć w piękno
i po co wiosnę widzieć,
gdy tylko noga z ręką
zostały inwalidzie?...

MAREK ADAM JAWORSKI

CZŁOWIEK I ZWIERZĘTA

Tadeuszowi Kubiakowi

Omal o niebo nie zawadzą drzewa,
drzewa wysokie, przyjaciółki drogie...
Razem z ptakami radość życia śpiewa
wyrwany z drutów uciekinier—człowiek.

Drzewa nie zdradzą, nie wyjawią ścieżki,
nie spłoszą ptaków kroki przyciszone.
Pod pniem dębowym dawny gość zamieszka,
ognisko zgasłe przed laty zapłonie.

Staną przy ogniu zwierzęta. Choć do nich
człowiek nie mówił inaczej niż kulą,
jeleń róg poda, wilk w pas się ukłoni
i kły drapieżne do piersi przytuli.

MAREK ADAM JAWORSKI

*) Wiersze wyjęte z tomu „Trzy wiosny", który wkrótce ukaże się w druku.

KALEKA

Pod parkanem ogrodu
gdzie ludzie najwięcej chodzą
zostawił ktoś wózek
z ludzką piersią i głową.

Organki zrosłe z ustami:
melodja rąk i nóg obciętych —
szpitale rozebrały ciało
na części.

Kadłub głowę przytula miłośnie:
Tyś mi została, by pamiętać,
że do łez nie podniosę ręki
— — graj głośniej — — — —

KLEMENS OLEKSIK

WIOSNA

Strzelistość kominów dźwiga tu
kawałki
ocalonego od dachów nieba —
(anemiczne gwiazdy:
to w dymach się
rodzą tęsknoty za wiecznością)

Na niejawnych ścianach
ludzie w lampionach prostokątnych świateł —
(a ciepły wiew targa płomyczkami konstelacji,
myśli dogwiezdne drogi szukającym
spojrzeniom).
W otwartym ku ciemności oknie
powoli rozbiera się dziewczyna —
wzniesioną nad głową sukienką
ścisza rozdygotany gwar fabryczny.

ANDRZEJ WIRTH

JESIENIĄ

Oczy zasłonił krajobraz któremu szybciej do morza
w szepcie słów tych dalekich płynę stukotem pociągu
oto słoneczny widnokrąg smutki przetrawił jak pożar
wsłuchany w rytm przeznaczenia dobijam odległych brzegów

Z przemian serdecznych nie warto jak wina sączyć z kielicha
smak twych ust nie zostanie na wargach sczerniałych spiekotą
i tylko na wyspach dalekich gdy słowa wykwitną cicho
wspomnisz błękit mych źrenic i dłoni wieczorną pieszczotę

A tu już jesień zalśniła i tylko wieczorem jest smutno
ścigasz wyblakłe obrazy idący parku aleją
wszystkie wczorajsze wspomnienia umarły z lęku przed jutrem
i tylko wicher jesienny rozwiewa ostatki nadziei.

Gdańsk-Oliwa, kwiecień 1946 r.
JANUSZ SKOSZKIEWICZ

TRAMWAJARCE

Tramwajarko wożąca dzień pracowity
przez miasto
bilet sprzedajesz czy uśmiech?
Wiosna zakwitła tramwajem
czy tramwaj wiosną wykwita
gdy wieczór w zmęczonych źrenicach
sygnałem dzwonków zagaśnie?

Gdańsk-Oliwa, wiosna 1946 r.
JANUSZ SKOSZKIEWICZ

SIŁA CZŁOWIEKA

Wierzę jak skopany we mnie człowiek
W moc ludzką bo ból czuję
Widzę radość tych co mię skopali
Bo parzy mię krzywda i poniżenie
Po każdym uderzeniu w mą twarz lżej mi
Przestrzeń odpycha złoczyńcę aż wygląda jak potworna wesz
Ssąca łakomie mą krew
Patrzę na martwe przedmioty wokoło czy nie zechcą mię bić
Czy znak mej boleści nie stanie się mściwości przynętą
Czy wolno mi stać
Czy wolno mi oddychać
Czy wolno mi patrzeć
Przez oczy zapuchłe widzę ludzi, którzy może płaczą a może się
[śmieją
Znowu uderzenie między oczy
Mignął mi jakiś rozwarty pysk

Nie wiem czy w uśmiechu czy do kąsania
Czuję że puchnę
Że rosnę
Że wypełnię radosnym krzykiem całe ciało
Że polecę gdzieś w dal i dogonię karła mściwego
I przyrzeknę mu całą porcję chleba
Naraz zmieniło się
Czuję jak wszystko wiruje kręci się skacze
Cuję coś w sobie ale nie wiem co
Wiem tylko
Że jednak żyję.

WALERY OSMENDA

MĘKA MEGO BRATA

Nad twoją męką skrzypce zawieszę,
ostatni żal twój grać będą,
nieść będą powieść przez ludzkie rzesze,
rozsieją łzy twoje wszędy.

Gdzieś w pustym stepie nad twoją męką
płaczącą posadzę brzozę,
każda gałązka drżąc jakby w lęku
twych przeżyć opowie grozę.

Nie dam pogrzebać męki twej w pyle,
nie dam zapomnieć imienia — —
gdzie grób twój — nie wiem; grobów jest tyle
każdy się łączy z mym cieniem.

Mój cień to oni — — ja i mogiły
idziemy — — skrzypce zawodzą — —
spuścizna braci krąży w mych żyłach,
ich cienie wraz ze mną chodzą.

HANNA KAWA

DEBIUT POETYCKI

POŁUDNIE

Cień mój zmieściłem
w cztery stopy pola
na którym
dźwięk łyżek zamieniony
z kosy rytmicznym
świstaniem
zamilkł sytością —
Dwa mendle
w fałdach bluzki zgubione
kołysały się między niebem
a ziemią
dopóki
sen krokami mymi

spłoszony
nie uciekł szybciej
niźli
konik z pod palca mi
wytrysnął.

TOMASZ ANDRZEJ LISTKIEWICZ

Przepraszamy bardzo tych wszystkich, których wiersze zamierzaliśmy drukować w „Kolumnie debiutów" i którym nie dopełniliśmy obietnicy. „Kamena" wychodziła tak nieregularnie, że w okresach przerwy nadesłane nam utwory mogły być drukowane w innych pismach, przez co ewentualni debiutanci zdołaliby przejść już chrzest poetycki.

CIEŃ SERCA

Sylwetka Heinza Brauna odcinała się wyraźnie od innych „totenkopfów", jacy wkrótce po kampanii wrześniowej zawitali do Lublina. Ich wysokie nieco drewniane postacie stawiały brutalne i hałaśliwe akcenty, mające jakby par force podkreślić władczość i zdecydowanie.

Na tle ich Braun był zjawiskiem wyjątkowym i to zarówno jako osobowość fizyczna jak też i — tak się przynajmniej zdawało — psychiczna. Średniego wzrostu, krępy, twarz miał okoloną dużą szpakowatą, dość starannie utrzymaną brodą. Spod gęstych siwych brwi patrzyły niebieskie, z lekka wyblakłe oczy, które na przechodniów zdawały się rzucać odruchy sympatii i współczucia.

A i zachowanie jego było inne i odmienne. Chód miał miękki i powolny, pozbawiony przejawów nerwowości, która cechowała jego pobratymców.

W rytmie ruchu ulicznego, który w każdym kraju i środowisku ma swe własne indywidualne zabarwienie, kroki niemieckie były wyraźnym dysonansem. Budziły tępe echa, które nie mogąc współdźwięczeć z otoczeniem, niby bumerangi wracały do swych właścicieli, izolując ich od pozostałych przechodniów. Przygnębiały swą brutalną obcością.

Chód Brauna był podporządkowaniem się dominancie miejscowej. Jeśli poruszanie się ulicznego tłumu ma swój muzyczny wyraz, który oddziaływa na „umuzykalnione" w psychicznych odczuwaniach jednostki, to w takim sensie Braun był niewątpliwie muzykalny. Najwidoczniej starał się nie zakłócać rytmu środowiska, w którym się znajdował, a przeciwnie znaleźć z nim współdźwięk.

Może było to instynktownie stosowane prawo mimikry, a może naprawdę odczuwał sympatię do potoku ludzkiego, który płynął obok niego.

Broda Brauna również zwracała uwagę i stała się jednym ze szczegółów spopularyzowania jego postaci w mieście. Był to bowiem jedyny Niemiec z brodą.

Wśród dawnych żołnierzy wilhelmowskich, którzy okupowali Polskę podczas pierwszej wojny światowej, typ brodatego Prusaka był dość pospolity. Obecne pokolenie niemieckie nie

nosiło zarostów. Traktowano je widocznie jako czarczafy, przesłaniające aryjskie znamiona w budowie twarzy. Nawet ci, co wskutek postrzałów mieli zeszpecone lub pokryte szramami twarze, golili starannie skórę.

W przeciwieństwie do Niemców Polacy w okresie okupacji chętnie zapuszczali wąsy i brody. Pospolity stał się typ konspiratora w butach, spodniach kroju wojskowego i z rozwichrzonym uwłosieniem. Nawet ci, co nic wspólnego z podziemiem nie mieli, poprzez cechy zewnętrzne nadawali pewne znaczenie swym postaciom dając jakby przez to do zrozumienia, że i oni coś... Choć legitymowani przez schupo lub gestapowców okazywali jak najlepsze, zabezpieczające ich przed dalszymi konskwencjami papiery...

Ale taka moda była wtedy modą i ulegał jej także świat kobiecy. Niewiasta, która w owym czasie nie miała przynajmniej jednej pary „oficerków", czuła się przybita i upokorzona.

I właśnie ta broda Brauna zbliżała go do środowiska polskiego i jakby wiązała z nim niewidzialną nicią mimowolnych kojarzeń. Niektórzy patrząc na niego wyczuwali życzliwą istotę.

A może to jakiś porządny, dobry człowiek, którego bieg wypadków wtłoczył w nienawistny mundur — mówiono.

— Nic nie wiadomo, przecież nie każdy Niemiec, choć nosi „trupią główkę", musi być bestią i bydlęciem.

— Rozmaicie bywa — dodawano — i starano się dowiedzieć, czy nie udałoby się poczciwca wykorzystać do pośrednictwa w akcji zwalniania z obozów i więzień.

Ale informacje co do jego osoby były skąpe.

Wkrótce nowa okoliczność przyczyniła się do dalszego spopularyzowania Brauna. Okazało się, że lubi on się fotografować. W gablotach reklamowych różnych atelier fotograficznych zaczęły się pojawiać jego podobizny różnego formatu i typu. Były wśród nich obrazki filmowe, które utrwaliły brodatego przechodnia z teczką, jak idzie samotny wśród tłumu, były i małe zdjęcia oficjalnego formatu „ausweisowego", były i inne, na tle drzew i zieleni lubelskiego parku, a były i „artystycznie" spreparowane duże portrety zgodnie z obowiązującą w tych sprawach formą i ujęciem.

Z dużej płaszczyzny brystolu patrzyły z uśmiechem oczy poczciwego starszego, pana, którego twarz tak bardzo nie pasowała do czapki i munduru.

Niemcy zajmujący odpowiedzialne stanowiska, a już co więcej wszelkiego typu członkowie formacyj szturmowych i policyjnych, nie byli skłonni do uwieczniania swych oblicz w środowisku, w którym sprawowali funkcje, a tym mniej do publicznego ich demonstrowania. Może mieli w tym względzie instrukcję, a może po prostu działał instynkt samozachowawczy i obawy co do przyszłości.

Ekshibicjonizm Brauna zwracał więc uwagę i kazał się za-

stanawiać.

Uważnego obserwatora uderzał jeszcze jeden szczegół. Oto prawie nigdy nie spotykało się brodacza w towarzystwie innych Niemców. Chodził niemal z reguły samotny. Przy spotkaniach podnosił rękę jakby od niechcenia i coś tam bez entuzjazmu mrukał pod nosem. Głośnego, wyraźnego, niemal wykrzykiwanego „heil", jak to czynili szczególnie partyjni, u Brauna nie słyszał nikt.

Przedwiośnie 1942 w Lublinie, mieście, które w historii okupacji hitlerowskiej zyskało sobie miano królika doświadczalnego, było mokre od krwi ludzkiej. W tym czasie rozpoczęto likwidację kilkadziesiąt tysięcy liczącego ghetta — pierwszego dużego ghetta w Polsce.

I mimo, że Lublin od 1939 roku poczynając miał już poza sobą kilkadziesiąt zbiorowych egzekucyj i tysiące rozstrzelanych, więzionych i torturowanych ludzi, to jednak likwidacja ta rzuciła koszmarny cień na miasto.

Codziennie rozlegały się kłujące jak szpilki, ostre i urywane setki wystrzałów i codziennie ciągnęły dziesiątki różnego typu wozów naładowanych trupami pomordowanych. Krew wąskimi strużkami spływała na bruk i dalej do rynsztoków. Oprawcy nie troszczyli się wówczas o zamaskowanie krwawej roboty.

Któregoś dnia, w parę tygodni po rozpoczęciu likwidacji, otrzymałem niezwykłą informację. Niemcy zlikwidowali w godzinach rannych sierociniec żydowski, w którym znajdowało się około dwustu dzieci do lat dziesięciu.

Egzekucja miała przebieg niezwykły. W okolice rzeźni miejskiej przywieziono samochodami sieroty, które wpędzono w ogrodzenie przeznaczone na spęd bydła. Kilkunastu gestapowców z pistoletami maszynowymi stanęło w pobliżu. Na krzesełku specjalnie przywiezionym i ustawionym obok dużego i głębokiego rowu usiadł wykonawca z rewolwerem w ręku. Trzech sterroryzowanych starców żydowskich podprowadzało kolejno do kata płaczące i wzywające ratunku dzieci.

Niemiec, tak jak by spełniał jakąś pracę biurową, włożył okulary, po czym odbierał od podprowadzającego dziecko, odwracał je spokojnie i systematycznie strzelał w tył małych, nieukształtowanych jeszcze, czaszek.

Huk wystrzałów wywabił z okolicznych domków mieszkańców. Byli oni świadkami niesamowitej rzezi. Gdy ostatni wystrzał przerwał nić niedojrzałego jeszcze życia, ostatniego dziecka, kat wstał i trzema kolejnymi strzałami zamordował trzech starych Żydów.

Nie troszcząc się ani o zasypanie dołu z trupami, ani o zatarcie śladów zbrodni, Niemcy wsiedli na samochody i odjechali, pozostawiając nad mogiłą opuszczone samotne krzesło.

Wieść o tej masakrze szybko rozeszła się po mieście, bu-

dząc wstrząsające wrażenie. Komentowano ją w najprzeróżniejszy sposób. Wszyscy dochodzili do zgodnego wniosku, że sądząc po tym, co się stało, ogół mieszkańców Lublina spodziewać się może jak najgorszych rzeczy.

Największe wrażenie wywołał fakt, który udało się stwierdzić ponad wszelką wątpliwość. Sprawnym wykonawcą tej „mokrej", a tak specjalnej roboty był brodaty Braun.

Osoba jego nabrała cech upiornych i stała się ośrodkiem wszystkich rozmów. Zaczęto indagować różnych wehrmachtowców i urzędników, którzy mieli kwatery w mieszkaniach zajmowanych przez Polaków. Wreszcie udało się uzyskać garść szczegółów rzucających światło na jego osobę.

Braun był zawodowym katem w Królewcu. Widocznie jako specjalista został wcielony do szeregów i ubrany w mundur esmana. Miał jakoby zdeformowany silnie podbródek, więc defekt ten osłaniał brodą.

Chodził samotnie, bo inni Niemcy uważali sobie za dyshonor obcowanie z zawodowym katem. Cóż, oni jako amatorzy mieli poczucie swej odrębności i inny punkt widzenia na sprawy śmierci.

Kilka dni upłynęło od tego wypadku.

W niedzielny wiosenny poranek szedłem główną ulicą miasta. Potoki światła słonecznego pokrywały wszystko dookoła, choć nie były w stanie rozproszyć mroków, jakie wypełniały dusze ludzkie. Nagle w pobliżu płyty Nieznanego Żołnierza, na którą stale jakaś nieznana ręka rzucała świeże kwiaty, ujrzałem Brauna. Szedł swoim zwykłym, wolnym krokiem, kołysząc w powietrzu trzymaną w lewej ręce teczkę.

Przyśpieszyłem kroku. Chciałem zbliżyć się i zobaczyć jego twarz. Wyobrażałem sobie, że teraz, gdy został zdemaskowany, gdy już wszyscy wiedzą, kto on jest i jaki jest, opadnie maska i zobaczę prawdziwe oblicze apokaliptycznej bestii.

Braun nagle zatrzymał się. Zauważyłem, że zwrócił się do przechodzącej młodej kobiety, która najwidoczniej wyszła z dziećmi na spacer, w wózeczku bowiem, który popychała, leżało niemowlę, a obok szła mała, zaledwie kilkoletnia dziewczynka. Rodzinny komplet uzupełniał nerwowy, szybko biegający foksik.

Braun zasalutowawszy powiedział kilka słów do kobiety, po czym pochylił się nad wózkiem.

Skojarzenie egzekucji i pochylenie się jego nad dzieckiem zelektryzowało mnie. Podszedłem szybko do grupy i zatrzymałem się, pozorując zatrzymanie się regulowaniem zegarka.

Braun powoli wyprostował się, sięgnął do kieszeni, wydobył portfel, a z niego kilka fotografij. Z tego, co zaczął mówić, zrozumiałem, że pokazuje zdjęcia swojej rodziny i swoich dzieci.

Widok mamusi z wózeczkiem, z małą dziewczynką i pies-

kiem rozczulił go i przypomniał gniazdo rodzinne, od którego oderwał go bieg wypadków. Prosi, by nie mieć mu za złe, że tak obcesowo podszedł na ulicy do nieznajomej, zatrzymał ją i wdał się w rozmowę.

— Ale cóż — tu palcem stuknął się w piersi — każdy człowiek ma serce, które od czasu do czasu dochodzi do głosu!

— A poza tym — dodał — ja w ogóle bardzo lubię dzieci! —

Mówiąc to uśmiechał się, a twarz, która bynajmniej nie była twarzą upiora, budziła zaufanie swoim poczciwym, z lekka patriarchalnym wyrazem.

Popatrzywszy chwil kilka na dzieci, jeszcze raz pochylił się nad wózkiem, uszczypał delikatnie niemowlę w policzek, wyprostował się, wziął na ręce i podniósł do góry dziewczynkę i pocałował ją w oba policzki.

Postawiwszy ją, sięgnął do kieszeni, wydobył garść cukierków i wsypał do wózka.

Poklepawszy nieufnie cofającego się pieska, podał rękę kobiecie, uścisnął ją serdecznie i raz jeszcze przeprosił za natręctwo, zasalutował i kołyszącym się krokiem odszedł.

Stałem nieruchomo i przez dłuższą chwilę patrzyłem, jak miękko przesuwał się wśród przechodniów, znajdując w pulsującym tłumie miejscowy rytm, któremu podporządkowywała się jego falująca postać.

WACŁAW GRALEWSKI

PRZEKŁADY Z POEZJI ROSYJSKIEJ K. A. JAWORSKIEGO

CHARAKTER

Dzieckiem uparty, żwawy był i zdrów
i dumnie tak błyszczały mu oczęta;
i matki była mu pieszczota święta,
lecz groźby nigdy nie usłuchał słów.
Baśniowych mężów wola nieugięta
w zimowy wieczór strzegła jego snów.
Lubił podziwiać bezbrzeżność stepową,
lubił lot ptaków swobodnych nad głową.
Bujnie mu płynął potok młodych lat — —
obwiesiem pustym go powszechnie zwano,
lecz żądzy czynu w nim nie rozpoznano;
ni woli silnej, tej, dla której świat
granicy nie ma. Dni bryzgały pianą,
lecz drogi żaden nie zaznaczył ślad;
bezpłodnie wrzała krew... Był jeszcze młody,
lecz w duszę już mu się zakradły chłody.
Pokochał, przestał kochać; potem raz
znów kochał, rzucał, lecz (słabości ducha!)

litości nie znał, nie znał, co to skrucha.
Posiwiał wcześnie. Chudą jego twarz
okryła bladość. Tylko wzgarda sucha
we wzroku jego sprawowała straż;
i usta jego zaledwie otwarte
miotały w koło jadowite żarty.

NIKOŁAJ OGAREW
(1813—1877)

SPOTKANIE

Młodzieńcza łączyła ich przyjaźń,
lecz wnet się rozstali we łzach
i trafem się później spotkali
po wielu już latach i dniach.

Lecz jakież ich było zdziwienie!
Już włosy przyprószył im śnieg,
i zmarszczki worały się w twarze,
i plecy przygarbił im wiek.

I starzec starcowi dłoń podał,
popatrzył. To wszystko — — i już.
I żaden drugiemu nie zwierzył,
wśród jakich wewnętrznych żył burz.

NIKOŁAJ OGAREW

NIEMOWLĘ

Siedziała matka nad kołyską;
dzieciątko spało; w dziwnym śnie
czerwień mu z zwiędłych ust nie tryska,
a jednak jakby uśmiech śle.
Świeca rzucała blask nieśmiały
na bladość niemowlęcych lic.
Myślałem: śpij, człowieczku mały,
póki nie czujesz jeszcze nic.

Bo przyjdzie czas i dni zastępy
zwątpieniem zaćmią umysł twój,
serce się zacznie rwać na strzępy
i czoło zmarszczy myśli rój.
Może cię dotknie los boleśnie
stratą nadziei, złudą lat
i pożałujesz nazbyt wcześnie
tego, żeś przyszedł tu na świat.

Na matkę, myśląc tak, niechętnie
ponury skierowałem wzrok,
w jej oczach łzy się szkliły mętnie
i z twarzy bił rozpaczy mrok.

Podszedłem bliżej chcąc rzec słowo:
przede mną sztywny leżał trup
i matka mi kiwała głową,
i strach mnie rzucił aż za próg.

NIKOŁAJ OGAREW

* * *

Niech świat porzucę — — smutku mało;
jedno mnie tylko niepokoi,
aby śmierć czasem nie spłatała
figla nad biednym ciałem moim.

Lęk zbiera, by nad maską trupią
ktoś łzą gorącą ócz nie zrosił,
by przez gorliwość jakąś głupią
na trumnę kwiatów nie naznosił.

By się od druhów nie roiło
na drodze mej do śmierci włości,
abym się nie stał pod mogiłą
przedmiotem zbędnej już miłości.

By wszystko, czegom pragnął chciwie
ale na próżno na tym świecie,
nie uśmiechnęło się życzliwie,
kiedy mnie ziemia już przygniecie.

NIKOŁAJ DOBROLIUBOW
(1836—1861)

* * *

Jest w świetlistości wieczorów jesiennych
czar tajemniczy, który nas rozczula!...
Złowieszczy blask i kolor liści zmienny,
ich lekki szelest, co się w ciszę wtula,
to rozemdlenie na nieba lazurze
ponad smutnymi ziemi obszarami
i jak zapowiedź nadchodzącej burzy
wiatr porywisty i jasny czasami,
brak, wyczerpanie i nadmierność w złocie, —
i wszędzie ten więdnienia uśmiech gości,
który w rozumnej, czującej istocie
zwiemy cierpienia boską wstydliwością.

FIODOR TIUTCZEW
(1803—1873)

* * *

Ja przyszedłem zbudzić ciebie,
przynieść wieść, że słońce wstało,
że rozlało się po niebie
i po liściach w krąg zadrżało.

Wieść, że las się ocknął ze snu
każdym listkiem na konarach,
każdą ptaka piosnką wczesną,
i w wiosennych tonie czarach.

Wieść, żem przyszedł tu jak wczoraj,
że znów żar w mym sercu gości
i że dusza wciąż jest skora
służyć tobie i miłości.

Wieść, że radość mieszka wszędzie,
że się cały kąpię w wiośnie,
że choć nie wiem, co to będzie,
ale pieśń już rośnie, rośnie.

AFANASIJ FET
(1820—1892)

INNA ZIMA

Pamiętam w mroźny dzień, zarumienione dzieci,
wśród drzew biegaliśmy, pod nogą skrzypiał śnieg,
a dobra zima nas w słonecznych skier zamieci
kosturem gnała tam, gdzie ogień ciepła strzegł.
Wieczorem drewek trzask, kominek płonął jaśnie
i w świetle jego blask w oczętach twych się lśnił,
a stara niania nam opowiadała baśnie
o tym, jak gdzieś tam hen głuptasek jeden żył.
Lecz przeszła zima ta i wiosna też niewinna
i nieraz potem żar upałów letnich stygł
i wśród jesiennych burz nadchodzi zima inna,
kosturem grozi nam i słychać zły jej krzyk...
A stara niania już swe nóżki wyciągnęła
i w grobie cichym śpi, gdy wyje wiatr jak zwierz,
i nie wie nic, żeś ty do piersi mych przylgnęła
i ufna w sercu mym coś czytać teraz chcesz.
A serce w taką noc, jak stara niania właśnie,
do pieszczot skłonne chce, by ogień w nim się lśnił,
i opowiada ci do uszka stare baśnie
o tym, że gdzieś tam hen głuptasek jeden żył.

JAKOW POŁOŃSKI
(1820—1898)

FORTUNATA

Kochaj mnie bez smutku i bez troski,
bez tych łez mącących życia zdrój,
bez zwątpienia pij ten napój boski!
Co tu myśleć? Twojam ja, tyś mój!

Wszystko rzuć i oddaj mi się cały,
z takim smutkiem nie patrz w głąb mych ócz!
Jakie burze sercem mym miotały,
nie odgaduj — ty masz odeń klucz!

Uczuć swych nie liczę i nie mierzę,
miłość — duszy mej jedyny kwiat!
Kocham, śmieję się, przysięgam, wierzę....
Ach, mój miły, jak jest piękny świat!

Nie myśl — przemknie miłość, rumak rączy.
Wierz jak ja, że wieczny jest jej bieg!
Wierz, że nic nas nigdy nie rozłączy
i że z ust mych będziesz pić przez wiek!...

APOŁŁON MAJKOW
(1821—1897)

PRZED ŚWIĄTYNIĄ

Cóż to? Wprost na nas tu lecą co sił na wyścigi,
lecą z pagórka wesołe figlarki!
Znam je, znam wszystkie: ta z tyrsem — **Aglaią**,
za nią Corinna i Chloe;
niosą ofiary na święto Bachusa!
róże i mleko i moszcz winogradu,
niosą miód gęsty i koźlę od matki dźwigają!
Czyż to tak idzie się modlić poważna dziewczyna?
Tu za kolumną się skryjmy świątyni...
Znam je: zanadto są żwawe i zbytnio czupurne —
skromny młodzieniec niech lepiej im w oko nie wpada.

Właśnie! Potrzeba... Dojrzały nas tu bystrookie!
Patrzą w tę stronę spode łba,
szepcą i wraz się trącają;
drżą im policzki i z trudem śmiech powstrzymują!
Gdyby nie to, że świątynia, że kapłan tu obok, —
wino to, mleko i kwiaty i małe koźlątko,
wszystko by w nas poleciało, w nieszczęsne ofiary,
bogom wieczystym na ołtarz,
miodem zlepione, oblane winami Bachusa!

Lepiej stąd chodźmy, już one nas tak nie wypuszczą!
Widzisz, z kapłanem zaczęły rozmowę,
stary się śmieje i zerka oczyma na nagie ramiona.
Mówiąc otwarcie — ramiona ich są niby z wosku,
ręce cudownie toczone, a co najważniejsze —
blask i ruchliwość, tężyzna i słodycz,
wdzięk razem z siłą we wszystkich złączyły się kształtach.

APOŁŁON MAJKOW

RYDEL WYKOPAŁ JAMĘ SĄŻNISTĄ

Rydel wykopał jamę sążnistą,
żywot samotny, żywot ciernisty,
żywot bezdomny, żywot cierpiący,
żywot jak w jesień wieczór — milczący, —
gorzko mój nędzny wlókł się przez czas
i niby ognik stepowy zgasł...
Trudno! Więc zaśnij, dolo surowa,
mocno się zamknie deska sosnowa,
ziemia wilgotna przylgnie do wieka,
tylko jednego zbraknie człowieka...
Strata nikogo nie zwali z nóg,
któż by tu o nim pamiętać mógł!...
Oto ją słychać — gościę cmentarzy,
pieśń się beztrosko w powietrzu waży,
ptakiem się kąpie w sinej przestrzeni,
dźwięczna pieśń srebrem w koło się mieni...
Ciszej!... Minęło wszystko, tu kres —
nie trzeba więcej pieśni ni łez!

IWAN NIKITIN
(1824—1861)

CHANSON A BOIRE

Jeśli kochanka cię niecnie zdradziła,
jeśli wciąż tęsknisz i kochasz we łzach,
jeśli wśród walki wyczerpie się siła,
jeśli w niedoli szamocesz się kłach,
rwie się twe serce,
pierś gniecie głaz,
pij, gdyś w rozterce,
pij, póki czas!

Pijesz — już siłą się iskrzą twe oczy,
fraszką ci nędza, znój walki i burz,
gorycz ran starych i ciężar, co tłoczy,
spłynie przy winie to wszystko — i już.
Pomknie twe życie
już w pełni kras...
Pij w sił rozkwicie,
pij, póki czas!

Gdy zaś kochany rozmarzysz się chwilę,
rychło przeminie beztroski tej czar,
w ziemi wilgotnej, ponurej mogile
zamrą uczucia i myśli twych żar.
Przemknie twe życie,
jak biczem trzasł...
Pij w sił rozkwicie,
pij, póki czas!

Co nam z radości i co z upojenia?
Krótko ich żywot na świecie tym trwa!
Daj zapomnienia, o daj zapomnienia!
Wino! Niech oczy przesłoni nam mgła!
Śmieje się serce,
pierś gniecie głaz, —
w szczęściu, w rozterce
pij, póki czas!

ALEKSIEJ APUCHTIN
(1840—1893)

OBŁOKI WSCHODNIE

Wędrują w górze wciąż obłoki niebne.
Kurz dymu wzbija się z błękitnych szkarp.
Perłowych łez błyszczące juki srebrne
wysoko dźwiga każdy biały garb.

W wieczorny czas przez nikły róż pustynny
za sobą kreśląc niewidzialny szlak
do gwiezdnej Mekki, szklącej się Medyny
mkną szybko w dal, bo los zapragnął tak.

Stopnieją dni jak rannych mgieł tumany.
O, płaczcie, płaczcie! Przyjdzie wreszcie kres.
Lecz lekkie te powietrzne karawany
do skarbca Boga zwiozą perły łez.

MIRRA ŁOCHWICKA

PRZY KOMINKU

Spływał nocy cień... Drwa się dopalały.
Z gorzkich jego ust słowa mu spływały.

Nieruchomy wzrok utkwił w ciemnej dali
i nad sobą sam tak się smutno żalił:

„Przeniknąłem w głąb nieznajomych lądów,
osiemdziesiąt dni sunął tren wielbłądów.

Łańcuch groźnych gór, las, rozlane wody
i w dalekiej mgle czyjeś dziwne grody.

Nieraz stamtąd w noc pod namiotów krycie
dolatało nas tajemnicze wycie.

Las rąbaliśmy, rowyśmy kopali,
podchodziły lwy, myśmy się nie bali.

Żaden bowiem, tchórz pośród nas nie kroczył,
trafiał celny strzał między ich złe oczy.

Odkopaliśmy z piasku tam świątynię,
jedna z tamtych rzek mym imieniem słynie.

I w krainie wód zza jeziornej strony
wielkich plemion pięć biło mi pokłony.

Teraz zbyłem sił, jestem jakby we śnie,
chora dusza ma ciężko i boleśnie.

I poznałem strach po raz pierwszy w życiu
pogrzebany tu, w czterech ścian ukryciu.

Nawet strzelby błysk, nawet cios obucha
nie są w stanie już zerwać mi łańcucha".

A kobieta zła w pysze swego ciała
wparta w ciemny kąt jego słów słuchała.

NIKOŁAJ GUMILOW
(1886—1921)

* * *

Nie kochasz, grasz mi na nerwach?
O, jakżeś piękny, potworze!
I ja nie mogę się zerwać,
a wszak latałam jak orzeł.

W oczy płyn wgryza się słony,
na świat, na ludzi mi kapie,
i tylko goździk czerwony,
czerwony goździk w twej klapie.

ANNA ACHMATOWA

PIĄTA

Nędza, Obczyzna, Niemoc i Starość,
czteryście przy mnie wierne jak pies,
wszystkie wróżycie wieczystą radość,
trosce mej ziemskiej — nieziemski kres.

Ciemne siostrzycę, prastare panny,
wyroki ślące z bezwzględnych ust,
każdą noc słyszę szept nieustanny
szept wasz o piątej, najstarszej z sióstr.

Szept wasz wciąż cichszy, bardziej miłosny,
bliżej wciąż bliżej opoka gwiazd,
z uśmiechem syna wnet już radosny
krzyknę: o śmierci, witaj mi, czas!

DYMITR MEREŻKOWSKI
(1865—1941)

BURZA

Burzo! Pędzisz ty armady
skroś huczących gniewnie mórz,
maszty gniesz wśród kanonady,
ku niebiosom wznosisz kurz.

Groźny pont na bój wyzywasz,
rzekom płynąć każesz w krąg
i staruszce złej wyrywasz
grat-parasol z drżących rąk.

Długowieczne gaje kosisz,
gradem wieścisz zbożu kres,
tylko mądrym nie przynosisz
ni radości, ani łez.

Mądry spojrzy w świat daleki
przez okienko w grozie tucz
i przymyka swe powieki
nad przesytem gorzkim ócz.

WŁADYSŁAW CHODASIEWICZ
(1886 —)

NASZ MARSZ

Bijcie o place buntu stopą!
Wyżej, twardych taranie głów!
My rozlewem drugiego potopu
przemyjemy tę ziemię znów.

Zwiódł lat smęt,
wlecze się wóz dni.
Nasz bóg — pęd,
serce jak bęben grzmi.

O naszym słońcu nikt z was nie śni.
Kule to dla nas brzęczenie os.
Naszym orężem — nasze pieśni,
naszym złotem — dzwoniący głos.

Zieleń ściele nam maj,
mość naszym dniom dno.
Tęczo, obręcz swą daj
koniom, co bezmiar tną.

Patrzcie, gwiazd rój spogląda,
bez nich pieśni wijemy wian.
Hej, Niedźwiedzico Wielka, żądaj,
by nas żywcem do twych wzięto bram!

Radość śpiewaj! Pij!
W żyłach wiosenny sok.
Serce, do boju grzmij!
Pierś nasza — litaurów grzmot.

WŁADIMIR MAJAKOWSKI
(1894—1930)

DZIKIE WEJŚCIE I PRZYJĘCIE

Dzikie wejście i przyjęcie,
ledwiem dowlókł się w zamęcie.
Jakby wodę w ustach miała,
oczy w sufit i milczała.

A za nikim, wiesz to sama,
jam się nie rwał z takim trudem.
Jeśli wargi zamknął zamek,
od ulicy zawieś drugi.

Nie na drzwiach od twego domu,
jeśli serce twe oporem,
lecz na świata jedną tobą
wypełnionych w krąg przestworach.

Bym unikał drużby z ziemią
widząc wciąż na firmamencie
pod tym kluczem słońca ciemność,
rozkład w wiosnach pod zamknięciem.

Nie oszukuj duszy, miła,
ogłusz, zawieś, zabij belką.
Przepoiła jak mgła siwa
białej plewy stertę wielką.

Gdy się słońca promień łamie
na pachnącej myszą szopie,
zerwij maskę, mów, że kłamie
fałsz miłości w serca stopie.

BORYS PASTERNAK (1890)

ZAPROSZENIE DO PODRÓŻY

Codziennym cieniem wschodzi dzień.
Ubranie zwykłe: kołnierz ciasny —
ach, spróbuj, weź go, zaraz zmień,
powiedz, że zmieniasz zwyczaje i miasto.

Będzie ci, siwy ze strachu, wyć,
paznokcie wpije, krzykiem cię zatrwoży,
zagrozi: w nędzy tam możesz zgnić,
rachunki ci wyłoży.

Ale rozdmuchnij jak zeschnięty tytoń
przyzwyczajenia, z pięter zejdź,
ujrzysz, jak ziemi kolana kwitną
i jaki jest uśmiech jej.

A może wściekłość? A może daleko
uniesie ciebie jeden podmuch rzęs,
pochłonie nagle cudów rzeką
i wszystko utraci swój sens?...

Gódź się natychmiast. Niechaj sił ci starczy
do tej ucieczki. Przecież poznać czas,
jak ludzie żyją i żują inaczej,
jak nowe słowo roztacza tam blask.

Jak błądzą ludy po obszarach cichych,
jak złotem tłuszczu wschodni bazar lśni
i jak, przypuśćmy, za Kaspią oddycha
bażant opasły w lepkim żarze dni.

Aby z obrzydłych i nudnych podnóży
życie twe wstało nie jak ranny step,
jak góra, której każdy stopień wróży
wciąż niespodzianek niezaznanych chleb —

by z krtani krzyk twój się w bezmiar rozdłużył:
— Myśmy znów krewni. Góro, uchyl nieb.

NIKOŁAJ TICHONOW (1896)

LIS POLARNY

Już zaczynamy się oboje starzeć,
o towarzyszko moja wierna, —
przed lustrem trudno już się tobie zarzec
i boleść skrywasz swą niezmierną.

Ty cała jeszcze promieniejesz siłą,
w obłoku ciepła kobiecego krocząc,
ale już losu ręka nakreśliła
plan pięcioletni ustom twym i oczom.

A przecież nawet i w tych zmarszczkach małych
jest ci, najdroższa, o wierz mi, do twarzy, —
nie! nie! miłości tej naszej wspaniałej
i koło czasu zgnieść się nie odważy.

Wśród dat i twarzy sercu memu bliskich
tyś niby dukat wśród groszaków marnych,
jak pośród futer kolorowych lisów
od śniegu bielszy biały lis polarny.

Jeśli zapragniesz mnie, miła, odtrącić,
będę wśród ludzi najnędzniejszy człowiek;
jeśli oślepną oczy kochające,
wspomnieniem będą się patrzeć spod powiek.

Ileż mąk różnych wymęczyłem z tobą!
Ileż wyśmialiśmy śmiechów oboje!
Ileż sztandarów jeszcze różną dobą
razem w niejednym rozwiniemy boju!

Ciesz się więc każdym nowym słońca wschodem.
Niech sieć oplata złośliwości czarnej, —
ja w legowisku swej duszy zachowam
na wieki ciebie, mój lisie polarny.

ILIA SIELWIŃSKI (1899)

ZNOWU LATO

(z poematu „Południk Pułkowa")

1

O jedenastej jeszcze całkiem widno
i na zachodzie nie śniąc o odlocie
leży zachodu purpurowe skrzydło
i nawet północ będzie tonąć w złocie.
Oto już jęła wprawiać w ruch pomału
nieważkie statków napowierznych ciała.

2

Księżyc z łabędzim jego opierzeniem
strąciła w Newy srebrzyste zwierciadło
i słowik śpiewa w bzów ukryty cieniu:
„Jam żyw—żyw—żyw, ja żyję, wiem, co radość!"
Bez strachu, w sobie tylko pogrążony,
maleńki ptaszek wywodzi swe tony.

3

A górą ryczą germańskie motory:
„Myśmy führ-rera r-roboty pokor-rne,
zmienimy miasto w r-ruiny upior-rne.
Jesteśmy śmiercią. Zdmuchnie cię nasz por-ryw".
A słowik śpiewa wciąż: „Jam tutaj, tutaj,
ja żyję, nie zamilknie moja nuta..."

4

Jaki upalny dzisiaj dzień zagościł!
Jak szybko czerwiec swą dojrzałość zdobył!
Jeszcze chwil kilka — i nocne ciemności
nieubłaganie od jasności doby
zaczną odcinać ruchem ziemi stałym
z początku skrawki, a potem kawały.

5

Od ósmej rano do pierwszej przywykłam
pod drzewem siedzieć i pisać, co boli.
W ogrodzie leci spadochronem nikłym
leciutki puszek strzelistej topoli.
Chwila — i nagle powietrze przecina
skrzydło jaskółki, co pikuje — żywa.

6

Jej synek mały, jaskółki zawiązek,
strosząc swe piórka wzrok na matkę wznosi,
chciałby polatać i o pomoc prosi,
gdyż boi się oderwać od gałązek.
Patrzy — topola w górę wybujała,
a matka mówi: „Śmiało, dziecko, śmiało!"

7

Pod drzewem pisklę jeszcze jedno stoi
i wózka trzyma się malutką ręką,
waha się... Wreszcie przezwycięża bojaźń
i jeden kroczek, kroczek nie bez lęku
w objęcia mamy przez drogę zdradziecką,
a ta mu mówi: „Śmiało, śmiało, dziecko!"

8

Jak wiele piskląt i maleńkich dzieci
szczebioce znowu w gniazdach Leningradu!
O rośnij, kwitnij mu, dziecięcy świecie,
w obrębie mieszkań i w alejach sadu
i po blokadzie zim dwóch bezlitosnych
czaruj nas swoim odrodzeniem wiosny!...

WIERA INBER (1890)

* * *

Na skrzydłach wiatr się nagle zjawił
i roztrzepotał włosów pukle
i pierś dziewczęcą jeszcze prawie
i biodra w krąg oblepił suknią.

Kobieta stała zaś, gdzie śliwy
z jabłonią wywar pędzą kwietny, —
i wiatr zapewne był szczęśliwy,
że taki z niego rzeźbiarz świetny.

* * *

Wietrze śniady! Jakiś ty szczęśliwy!
Ach, wietrzniku, rozwichrzona głowo!
Czy dla brzózki białej czy dla iwy
jednakowe wciąż masz czułe słowa.

Wietrze śniady! Nucić ci nie trudno!
Na mnie zaś jakby ktoś urok rzucił:
przez jedyną daleką i cudną
tylem lat się smucił...

* * *

Że pada liść, że księżyc nas urzeka,
ach, dobrze wiem i nie zapomnę tego,
jak września czar prowadził nas daleko
wzdłuż klonów, co alei wiernie strzegą.

W miesięcznej mgle wzruszony ciebie tulę
i klonów cień wciąż dłuższy z każdą chwilą.
A księżyc mknie — na całą ziemską kulę
on jeden wszak, a zakochanych tyle.

STIEPAN SZCZIPACZOW

ZNAKI

W koszuli samej dreszcz mnie przejął.
Lud pono w takie znaki wierzy:
kiedy czeremcha świeci bielą,
to chłodny wiatr się zrywa z leży.

Późno. Lecz kto by czas tu liczył,
gdy dobrze siedzieć nam bez słowa.
O szczupłych ramion twych słodyczy
pod marynarką granatową!

Tak. Nawet gwiazdy odczuwają,
że dreszcz i tobie się udziela,
ale tak zawsze bywa w maju,
kiedy czeremcha świeci bielą.

STIEPAN SZCZIPACZOW (1899)

DEDYKACJA

(z poematu dramat. „Niebo nad Ojczyzną")

Niebo i Ziemio! Jestem z wami!
Sojuszu tego nic nie złamie.

Niech się rozpadnę, niech rozpuszczę,
nigdy was, nigdy nie opuszczę.

Niechaj popiołem legnę w ziemi,
moje się ciepło w jej zamieni

i nie odbierze nikt mi szczęścia,
że zawsze będę świata częścią!

Byłem kropelką, żyłem w deszczu,
nie mrok ,lecz tęczę w sercu mieszczę.

Na bryzgach mknących z niebnych pował
jam siedmiobarwny wiersz zbudował.

Migotom wody rwącej z burzą
spektralne ślady moje wtórzą.

A umrę — wrócę w grze pryzmatu
do tego życia, tego świata.

I w sinym niebie ziemia czarna
zawsze do siebie mnie przygarnia.

SIEMION KIRSANOW (1906)

* * *

Gdy się misterium jakieś święci
i spływa błogość
i nie masz czego oddać więcej
tej, która obok;

kiedy cokolwiek by jej złożyć,
czy żar, czy mękę,
to samo — jakby z rąk przełożyć
do drugiej ręki;

kiedy ją skazać na męczarnię,
na ból i niepokoje,
to samo — jakby pchnąć w zwierciadle
odbicie swoje;

kiedy jej cień wyrzutu zrobić,
jej takiej białej,
to samo — jakby cisnąć sobie
kamieniem w ciało;

kiedy ją śliskim oddać żartom
na słów tortury
to samo — jakby ciebie darto
żywcem ze skóry;

kiedy się z sercem niewygasłym
zrzec jej w tęsknocie
to samo — jakby ciałem własnym
lec na szafocie; —

ją, co jest nędzy twej powodem,
niezastąpioną —
oddawszy wszystko jej, — w nagrodę
nazwij swą żoną.

KONSTANTIN SIMONOW (1915)

PRZEKŁADY TADEUSZA BOCHEŃSKIEGO
(ZAKOPANE)

PRAPOCZĄTEK

Ni byt naówczas istniał, ni niebyt. Przestworu,
powietrza, słońca brakło nad powietrzem w górze.
Lęgło się co? Żyć chciało? Gdzie? Za czyją wsporą?
Ocean nie falował, co go wichry porą.

Światło się od ciemności jeszcze nie różniło,
śmierć nawet nie istniała ani nieśmiertelność.
Prajeden bez tchu dyszał samorodną siłą,
a nic prócz Prajednego i nigdzie nie było.

Aż oto zeń — pędzona jakoby kwitnieniem —
żądza się wywinęła, pierwozaczyn ducha.
Taki most od niebytu po byt — niestrudzeni,
tędzy rozumem mędrcy wpięli w zagadnienie.

Rzucaliż sieci, miarę wieszali ukosem,
ciekawi, co na dole i co na wyżynach.
I mówią, że zalążnie, że skupione moce,
że nisko rozpłodzistość, a dążność wysoce.

Lecz nikt nie wie naprawdę, ni wyłożyć zdoła,
skąd byt i niespodziana śród niebytu twórczość.
Bogowie się wykluli ze światem po społu,
czyjże więc prapoczątku sięgnie mózg i słowo?

Skąd rozmaitość w wielkim stawania się drzewie?
Ten, co jej być rozkazał albo nie rozkazał,
ten, co którędyś czuwa za niebiosów niebem, —
ten może wie już wszystko. Albo i on nie wie.

KLĄTWY

Wyjdź, nie opieraj się kopyści,
o ziele, pędzie niecofniony,
postrachu dziewek zajuszystych,
orężu prawowitej żony.

Ziele szczęśliwe bogów łaską,
wysokie, liścia rozłogiego!
Odeprzyj, która się na gniazdo
zawzięła! Męża broń mojego!

Tobą, o ziele tęgie, tęga,
przerównam wszelką dziś tężyznę.
Dziewka już słabnie, już się lęka,
już ją z ostatka woli wyżmę.

Już cieniem jest, już bez imienia
ani małżonków cudzych kradnie.
Leć, tchu klątewny, wichrze ziela,
podymaj nawet w cień: przepadnie.

Ziele zwycięskie, ziele mocne,
spółzwyciężajmy, następujmy!
Oboje, ty i ja, nie spoczniem,
aż mi małżonek wróci bujny.

Małżonka zielem oto wiążę,
na skroń mu ziele tkam, na oczy.
Niechże myślami do mnie dąży,
niech łono moje go ponęca,
jak krowę wabi głos cielęcia,
jak się korytem rzeka toczy.

z Goethego

GIERMEK

Przypływ ducha, wesele na ziemi czuję klasycznej.
Dawność i teraźniejszość ciekawią, wabniejsze niż wczoraj.
Pomnę rady i w dziełach antycznych kartkuję ochoczo:
rośnie użycie, co dzień tężej wonieje Propercjusz.
Ale co noc Amora służbę odprawiam pokorną,
mniej niż w słońcu rozumujący, szczęśliwy podwójnie.
Uczy przecie i Amor: czyż nie mądrzeje prawica,
kiedy pierś ukochanej opływa, biodrami się ślizga?
Teraz dopiero znam marmury, rozbieram, zestawiam,
teraz okiem dotykać, a ręką umiem poglądać.
Skradnie zaś ukochana dnia cząstkę pracowitego,
wynagrodzim tę stratę sowicie najbliższej już nocy.
Wszak się w łożu nie tylko pieścimy: bywają rozmowy,
kiedy zaś ona zaśnie, ja czuwam i myślę niegłupio.
Jużem w uścisku i poemat układał, a palce
na jej lędźwiach misternie wystukiwały heksametr.
Cóż, że śpi, jeśli oddech sennej kołysze mi ducha
i te ognie — kształtuje, co w żyłach moich goreją?
Amor tymczasem kaganek obrządza i lata wspomina,
kiedy tak samo triumwirom giermkował potężnym.

Mroczne gór wyżyny
W ciszy nocnej śpią,
Cicho śnią doliny
Otulone mgłą.

Liść nie zaszeleszcze,
Ptak w gęstwinie śpi, —
Czekaj — chwila jeszcze —
Odpoczniesz i ty...

J. W. GOETHE
przełożył Tadeusz Stępniewski

Przekłady z „Selected Poemes"

KSIĘŻYC NA MŁODZIKU

Dzieciątko-księżyc, piroga, srebrna dziecięca piroga, płynie i płynie [do Indian, na Zachód.
Krążek srebrzystych lisów, tuman srebrzystych lisów siedzi i siedzi [wokół indiańskiego księżyca.
Oto gwiazda żółtego koloru, jak tropiciel i szeregi niebieskawych [gwiazd, jakoby tłum tropicieli, sprawują wartę.
O, lisy, dzieciątko-miesiąc i tropiciele, wyście w pamięci wskrześli białopłomiennym listem tej nocy w snach czerwonoskórego człowieka.
Któż to usiadł na ziemi, krzyżując ręce i nogi, spojrzeniem mierząc [twarz księżyca i lica zachodnich gwiazd?
Kimże są widma z dolin Missisipi miedzianoczołe,
widma mknące konno, bez uzd, na żylastych rumakach,
a których dłonie kochające, spoczywają na szyjach koni,
co biegną nocą po ścieżce dawnej i długiej?
Dlaczego zawsze wracają tu, kiedy srebrzyste lisy siądą wokół młodego [księżyca, srebrnego dzieciątka, u Indian, na Zachodzie?

KAPELUSZE

Kapelusze, czymże jesteście?
Co tai się pod wami?
Z krawędzi szczytu drapacza chmur
spojrzałem w dół i zobaczyłem: kapelusze! Pięćdziesiąt tysięcy kapeluszy!
Roiły się szumiąc pszczelnie i jak owce, wodospad, byki,
lub zastygały w bezgłosie podmorskich traw i milczeniu prerii okrytej [pszenicą.
Kapelusze, opowiedzcie mi o swych wzniosłych nadziejach...

MIASTO POTOMKA W LUTYM

Most mówi: przejdź, wypróbuj mnie, przekonaj się jakim mocny.
Skała na rzece mówi: patrz na mnie. Jak prosto należy stać — ja uczę.
Jasna woda mówi: opływam kołem, pod i nad opływam w czas dzien- [ny i nocny.
Klęcząca sosna mówi: jeszczem tu, a rok temu o mało mnie nie wzięto.
Księżycowy połoz wyślizguje się wiatru silnego pędom —
Wiem dlaczego: ujrzę cię jutro, a opowiem wszystko — pojutrze...

NOCNY RUCH W NOWYM JORKU

Noc, gdy morskie wiatry ujmują miasto w ramiona,
chłodząc gwarne ulice, w których kurz ranka i zmierzchu,
nocą, gdy morskie ptactwo leci ku miasta blaskom,
blaskom, co nazwę miasta wyrzynają na widnokręgu.
Noc, wśród której furgony i pociągi z dala ruszają do miasta,
bo ludzie tam o chleb proszą i oczekują na listy —
po nocach miasto żyje także — dzień to wszakże nie wszystko.
Nocami krążą tancerki, śpiewają pieśniarki,
żołnierze zaś i żeglarze szukają cyfr na drzwiach,
nocą — wiatry od morza ujmują miasto w ramiona...

DOBRANOC

Rozmaicie można wymówić słowo: DOBRANOC.
Fajerwerki w porcie 4 lipca
głoszą je płomiennymi kołami i żółtymi sprychami.
Sycząc wzbijają się w powietrze i nikną dotknąwszy wód.
Race biegną po trajektorii ze złota i lazuru
i — gasną...
Pociągi głoszą to słowo stogami czarnego dymu, które cięża
na jasnych słupach pary.
Okręty skręcają ku Missisipi wydając barytonem okrzyki,
a te krzyżują się, lecą nad polami bawełny w dolinach
i wbiegają na strome szczyty pagórków
aby lekko wypowiedzieć słowo: DOBRANOC.

CARL SANDBURG
(ur. w r. 1878)
tłumaczył Józef Czechowicz

NOTY

PO KONGRESIE. Wrocławski Kongres Intelektualistów reprezentujących 45 krajów powziął znane wszystkim uchwały. Uchwały potępiające podżegaczy wojennych, nawołujące wszystkie narody do zgodnej współpracy na rzecz pokoju, protestujące przeciw korzystaniu z nauki dla celów zniszczenia. Za luminarzami światowej kultury, nauki i sztuki stoją milionowe masy, przeciw nim klika kapitalistów znikoma w swej liczbie, ale zbrojna w potęgę pieniądza, dzięki któremu rozporządzająca prasą, aparatem państwowym, mnóstwem organizacyj i mobilizująca opinię. Świat kultury wypowiedział wojnę światowi mroków i stoczył pierwszą bitwę. W tej szlachetnej bezkrwawej wojnie o pokój i sprawiedliwość musi zwyciężyć i zwycięży na pewno. By jednak walkę prowadzić skutecznie i przyśpieszyć zwycięstwo, intelektualiści wszystkich krajów powinni jak najprędzej wprowadzić w życie wnioski swej rezolucji: zorganizować krajowe kongresy działaczy kultury w obronie pokoju, tworzyć wszędzie krajowe komitety obrony pokoju, wzmocnić w interesie pokoju międzynarodowego więzy łączące działaczy kultury wszystkich krajów. Dzięki naszej inicjatywie w naszym mieście odbył się kongres pokoju, w naszym państwie zatem oczekiwać należy najrychlejszej realizacji wskazań kongresowych.

„DWA WIEKI POEZJI ROSYJSKIEJ" — dwa lata czekaliśmy na tę antologię, która wciąż „w najbliższym czasie" miała się ukazać, ale otrzymaliśmy książkę, której nie możemy się powstydzić. Redaktorzy M. Jastrun i S. Pollak wywiązali się ze swego zadania dobrze. Dali prawie zupełny przekrój rozwoju poezji rosyjskiej od Łomonosowa po dzień dzisiejszy w jej najważniejszych osiągnięciach — 63 poetów w przekładach 61 tłumaczy. Nie znaczy to jednak, by w tej pięknej książce nie można było dostrzec pewnych braków. Zwrócili już na to uwagę w swych wnikliwych recenzjach Piotr Grzegorczyk w „Tygodniku Powszechnym" i K. W. Zawodziński w „Twórczości". Do wspomnianych tam zarzutów: brak Nadsona, Mereżkowskiego, Bunina, Mirry Łochwickiej, Achmatowej i Siewierianina dorzucilibyśmy inne. Pominięty np. został Ogarew, subtelny, bliski Lermontowowi liryk, autor elegijnych, pełnych smutku i pesymizmu wierszy. W stulecie Wiosny Ludów, w przeddzień wydania polskiego przekładu „Byłoje i dumy" nieobecność przyjaciela Hercena w antologii jest szczególnie przykra. Obok Tiutczewa, Feta oraz skąpo reprezentowanego Majkowa (brak jego tak charakterystycznych „helleńskich" wierszy) i Połońskiego powinien by się znaleźć Apuchtin i Goleniszczew-Kutuzow — wszyscy oni bowiem przedstawiają pewne właściwe sobie poglądy filozoficzne i należą do wybitniejszych przedstawicieli poezji tego okresu. Nie ma Szczerbiny ani Konst. Słuczewskiego, choć przekład ze „Skamandra" był chyba dostępny. Przy Balmoncie próżno szukamy głośnego wiersza „Ja miecztoju łowił uchodiaszczije tieni", tak świetnie spolszczonego przez Miriama. Biełyj wypadł blado. Pominięty wybitny poeta akmeista Maks. Wołoszin. Skoro diasporę reprezentuje Cwietajewa, mógł był się znaleźć Władysław Chodasiewicz, nota bene Polak z pochodzenia, a z młodszych choćby Groński i Popławski, że pominiemy już Knuta i Ładińskiego. W każdym bądź razie fragment takiego unikatu, jak piękny alpinistyczny poemat Grońskiego „Belladonna" powinien był być uwzględniony, co przeoczył L. Gormolicki, choć jego pośrednią zasługą jest powstanie polskiego tłumaczenia. Przechodzimy do poetów doby porewolucyjnej. Przy Jesieninie przydałby się Klujew, a z imażynistów poza Jesieninem przynajmniej z jeden wiersz Kusikowa — z tych orientalnych. Brak Orieszina. Świetny Bagricki reprezentowany jest za skąpo, tak samo Antokolski, Tichonow i Asiejew. Nie ma dobrego poety petersburskiego Prokofiewa. Nie obecna Olga Bertholc, choć jest Tatianiczewa. Nie będziemy się kłócili o Demiana Biednego, ale Isakowski, Surkow i Marszak mogli zademonstrować choć po jednym wierszu. Twardowskiego przydałoby się więcej... A gdzie Dołmatowski? Te wszystkie mankamenty nie obciążają jednak redaktorów, jeśli się zważy, że przygotowali antologię w ciągu pół roku, gdy potem książka czekała na ukazanie się dwa lata. Słusznie mówi Zawodziński, że gdyby to odwrócić, antologia by na tym zyskała. Można by wtedy lepiej poszperać w istniejących przekładach oraz „zamówić" nowe, konieczne. Można jeszcze było powiększyć objętość książki o kilkadziesiąt stronic. Mimo tych zastrzeżeń „Dwa wieki" są piękną i pożyteczną książką, jedyną zresztą do poznania poezji rosyjskiej, i wdzięczni za nią jesteśmy jej redaktorom. Powinien ją poznać każdy miłośnik poezji, powinna ją czytać młodzież szkolna, powinna dotrzeć do szerokich mas.

Z PRAWDZIWYM WZRUSZENIEM bierzemy do ręki dwa powojenne tomy „Wierchów" (roczn. XVII — 1947 i rocznik jubileuszowy — 1948 wydany z okazji 75-lecia istnienia Polskiego Towarzystwa Tatrzańskiego). Ten sam format, nagłówek tytułowy z odbitką krajobrazu górskiego, to wszystko, do czego przywykliśmy przed wojną. A zmieniło się tak wiele. Wystarczy przejrzeć listę „ludzi gór" zmarłych, poległych i zamordowanych w latach wojennych. Wprost przerażenie ogarnia, gdy się ją odczytuje. 209 nazwisk — uczonych, artystów; literatów, alpinistów, narciarzy. Chyba zważywszy nikły stosunkowo zasięg zainteresowań górskich u nas, tak wielka liczba świadczy o tym, że lista strat „ludzi gór" wzięła tragiczny rekord wśród stowarzyszeń,

organizacyj zawodowych i instytucyj w Polsce, wyszczerbionych poważnie w latach 1939—1945. Zwłaszcza w alpinizmie naszym straty są ogromne: obaj Bernadzikowiczowie, Bujak (zdobywca Nanda Devi w Himalajach „zaginął bez śladu" na wycieczce w niepozornych górach Kornwalii — niepojęte!). Dąbrowski, Karpiński (w Himalajach); Oppenheim (zamordowany już po wojnie przez bandy leśne — on, co tyle żyć ludzkich wyrwał śmierci!). Petecki, Sokołowski, Zaruski, że wymienimy tylko najważniejszych. Jak różne rodzaje śmierci tych wszystkich, co odeszli! Niektórzy zginęli śmiercią górską, jak St. Bernadzikiewicz, Karpiński i Tad. Kotarbiński, wielu jako ofiary terroru niemieckiego w Polsce lub w obozach koncentracyjnych, inni wreszcie, jak Dąbrowski, Gałuszka czy Witkiewicz popełnili pod wpływem depresji samobójstwo. Wstrząsająca była śmierć Jana Rzewnickiego, turysty i literata, spalonego żywcem w powstaniu: był sparaliżowany. — W roczn. XVII nowa rzeczywistość wprowadziła nowy temat — Sudety. Pisze o nich od strony naukowej M. Klimaszewski, od turystycznej — M. Orłowicz „640 km pieszo przez Sudety" Ostatni artykuł może do pewnego stopnia służyć za przewodnik, szkoda tylko, że brak mapki. Ładna jest impresja górska J. A. Szczepańskiego „Powrót" szczególnie ciekawa dla piszącego te słowa, jako że w niejednym z opisanych w niej epizodów brał udział (i w tym powrocie „po winie" z Jaworzyny do Gałajdówki przez las Jaworowy wspomnianym powściągliwie z pominięciem pewnych ważkich szczegółów). Uderza w tym „Powrocie" jak i w „Czasach pomiędzy wojnami" (w roczn. jubileuszowym) przedwczesne znużenie i pewien passeizm w stosunku do poczynań taternickich znakomitego alpinisty. „Inni sięgają po czyn. Nam pozostaje miejsce w szeregach widzów, nawet jeśli jest miejscem honorowym, przykre, skoro się samemu było aktorem Pięknej gry". Czyżby dziennikarstwo tak wycieńczało siły? Interesującą pozycją w roczn. XVII jest Egzotyka: „O polskiej wyprawie w Himalaje" J. K. Dorawskiego i „Polska wyprawa w Ruwenzori" Tad. Pawłowskiego. O roczniku jubileuszowym „Wierchów" trudno mówić bez zachwytu. Daje naprawdę dokładny przegląd dorobku 75-letniej pracy P.T.T. w górach. Z artykułów wyróżnia się rzecz o Chałubińskim: piękne „Wrota Chałubińskiego" Władysława Krygowskiego, (któż z naszych literatów pokusi się, o skreślenie „vie romanc." tego „króla Tatr", temat aż się o to prosi), „Na przełomie" W Goetla i interesujące „W latach wojennych" S. Siedleckiego. Wiele sentymentu zawiera art. „Pamięci zmarłych schronisk" Oppenheima i Gentil Tippenhauera. Rocznik uzupełniają piękne ryciny od reprodukcyj starych sztychów czy rysunków (Stęczyńskiego, Eliasza Radzikowskiego, Witkiewicza i in.) po nowoczesną fotografikę (przepiękne zdjęcie Krówczyńskiego Czeskiego Stawu) i wyczerpujące dane bibliograficzne. Naczelnym redaktorem „Wierchów" jest prof. W. Goetel.

MOŻE TO NIE LITERATURA i nie miejsce tu o tym wspominać. W każdym bądź razie chodzi o litery. Przemaszerowałem w sierpniu długi graniczny szlak w Tatrach Zachodnich od Długiego Upłazu po Kończysty nad Jarząbczą. Na całej tej drodze w czwartym roku odzyskanej niepodległości towarzyszyły mi kamienie graniczne z literami D(eutschland) i S(lowekei). Zapewne tak jest i gdzieindziej. Niby mała rzecz, ale wstyd. Trudniej już Czechom dopisać C z daszkiem i R, ale nam wystarczy przedłużyć pałeczkę przy D. Wdzięczna praca choćby dla harcerzy.

ROCZNICĘ TIUTCZEWA (75-lecie śmierci poety) przemilczały z wyjątkiem „Twórczości" wszystkie pisma literackie, a niektóre z nich wiedziały o niej i rozporządzały materiałem. Dziwnymi drogami chodził u nas hasło o zbliżeniu kulturalnym narodów słowiańskich. Poza „Odrą" i „Kameną" żadne pismo literackie nie zdobyło się na wydanie specjalnego numeru czeskiego czy czecho-słowackiego. W „Kuźnicy" która zamieszcza przekłady poezyj, nie ukazał się dotąd ani jeden wiersz czeski. W związku z Tiutczewem informujemy, że ukaże się

wkrótce nakładem Wł. Bąka w Łodzi wyczerpujący zbiór wszystkich najważniejszych wierszy świetnego liryka rosyjskiego (przeszło sto dwadzieścia utworów) w przekładach J. Tuwima, T. Stępniewskiego i K. A. Jaworskiego. Książkę poprzedzi studium prof. K. W. Zawodzińskiego.

W GRUDNIU R. B. przypada 75-lecie urodzin Walerego Briusowa, a w przyszłym roku 25-lecie jego śmierci. Jest to jeden z ważniejszych poetów rosyjskich doby symbolizmu, świetny tłumacz modernistów francuskich, jako znawca współczesnej mu poezji francuskiej wnoszący do liryki rosyjskiej wiele nowych osiągnięć formalnych. U nas tłumaczył kilkanaście jego wierszy Tuwim w zbiorku „Balmont—Briusow". Niestety, książka jest białym krukiem.

SPOŚRÓD WYDAWNICTW PRZEKŁADOWYCH „WIEDZY" której działalność rozwinęła się ostatnio bardzo żywo, na uwagę zasługuje wznowienie tłumaczonej już przed wojną powieści Cronina z życia górników angielskich „Gwiazdy na nas patrzą" Jest to utwór artystycznie słabszy od świetnej „Cytadeli" i zawierający niepotrzebne dłużyzny, niemniej jednak interesujący jako obraz angielskich stosunków społecznych w pierwszym ćwierćwieczu obecnego stulecia. „Pasję życia" Irvinga Stone'a, powieść o Van Goghu, opartą na wiernych danych biograficznych i listach znakomitego malarza do brata, czytamy z wielkim wzruszeniem. Ciernista droga, jaką przeszedł Van Gogh, nie doceniany za życia, i tragizm ostatnich miesięcy poprzedzających jego śmierć pozostawiają niezatarte wrażenie. Powieść wtajemnicza nas również w życie impresjonistów francuskich i w nie zawsze budujące stosunki, jakie wśród nich panowały.

„SIEDEM NOCY" Stanisława Czernika to zapewne siedem lat rozłąki jego z ojczyzną. Książka zawiera wiersze i z poprzednich jego zbiorków. Ale dla nas ważnych jest tych właśnie siedem lat — nowe oblicze Czernika zawarte w pięciu cyklach. Tematyka: początek wojny, wojna, przekroczenie granicy, obóz jeniecki, diaspora, powrót. Czernik zwiedził wiele krajów — Francję, Włochy, Północną Afrykę. Ale próżno szukalibyśmy w jego wierszach egzotyzmu. „Nie mieszka" tam wcale. Wszędzie towarzyszy mu ojczyzna. Motywy wierzb polskich, brzóz czy buków wplatają się w nie widziane raczej pejzaże południa i przesłaniają oliwki i oleandry. Cykady przypominają nasze świerszcze. Całą florę ojczystą i faunę wraz z królikami i zającami wprowadza Czernik do tych wierszy o słonecznym południu; tych „okrutnych błękitach" Wzruszająca jest ta „polszczyzna" towarzysząca wszędzie poecie, jego wizja żony i dzieci pozostałych w kraju, z których „nie będą nigdy Niemcy ni folksdojcze" Nie sposób tu szczegółowo omawiać pięknych nowych wierszy Czernika. Autentyzm święci tu triumf, bo też lata wojenne aż nazbyt dostarczyły materiału do przeżyć autentycznych. Ekspresja Czernika zyskała wiele: przekonywająca szczerość i prostota, umiarkowana, acz nieraz wynalazcza metaforyka, sugestywne chwyty w motywach balladowych (powtarzanie, jakiś zaśpiew bolesny, zawodzenie płaczek), opanowanie techniki wiersza, zwłaszcza w równo płynącym nienagannym jambie, szczęśliwe i częste operowanie rymem męskim; — wszystko to świadczy, że Czernik-poeta tych lat wojennych nie zmarnował. P. S. Ale „czerń bardziej czarniejsza" (str. 13) to nie brzmi poprawnie.

DOTARŁA DO NAS i liryka polska na emigracji. Ostatni zbiorek Jana Brzękowskiego wydany w Paryżu r. 1948 ma tytuł „Odyseje" i zawiera 17 wierszy powstałych w latach 1938—45. A więc też jakby „7 nocy" Jakżeż są inne od „nocy" Czernika. Przed wojną znaliśmy Brzękowskiego jako jednego z przywódców i teoretyków awangardy lirycznej. Upłynęły lata-wieki. Zmienił się Przyboś i stał się prawie zupełnie czytelny, Ważyk wyraźnie zerwał z przeszłością, we Francji Eluard i Aragon przekonywają wstrząsającą prostotą, a Brzękowski wciąż jeszcze jakby broni straconego już dawno posterunku. Ale i on już się z niego zaczyna wycofywać. Wiersze pierwszego cyklu związane z aktualnością i zapewne późniejsze są najbardziej proste, choć ich

układ liniowy wydaje się zupełnie dowolny i z powodzeniem można by je drukować jako poematy prozą. Ale w tematach związanych z krwawą rzeczywistością wojenną fałszywie brzmi takie np. porównanie życia w maquis „pod grzmiącą tajemnicą gór" w otoczeniu „morza gnących się sosen" przy dymiącym ognisku, pośród karabinów ustawionych w kozły — z nocami tatrzańskimi „pod niskim pułapem schroniska w dolinie Roztoki" Wygodna sielanka turysty w schronisku i partyzancka noc w maquis to są rzeczy niewspółmierne. Pięknie mówi Brzękowski w „Wybuchu" „rechotanie żab śle w przestrzeń bratnie pozdrowienie polskim żabom" lub „nie wstydzę się słowa tęsknota" ale dlaczego „siano w Polsce żeńsko pachnie majem" („Indianie") tego nie rozumiemy. Ten seksualizm znany już z „Na katodzie" staje się jakąś obsesją, bo i w „Odysejach" „włócznie kłuły przestrzeń żeńsko w namiotach tonęły cicho do lotu podrywane ptaki" i „sierpy szczękały żeńsko" („Wozy"). Gra słów: obnażone boginie malowane ochrą spór wiodły w napierśnikach kołysząc jabłka Paryża (skojarzenie z Parysem) (ale odkrywcze jest w tym wierszu zdanie: „co noc nas do snu kołyszą syreny — Syreny odległej Warszawy) czy skojarzenia w pięknym zresztą elegijnym erotyku „Łubin" — „lubię, lubisz, łubin" — z lubieniem — dziś nas raczej nużą, niż zaskakują. Tak samo przybosiowe „odchwilić" czy „zaprzyszłe" Toteż najbardziej przekonywa Brzękowski tam, gdzie nie używa tych sztuczek, jak w „Wybuchu" „Wozach" czy „Polsce" Dodamy jeszcze — najlepszym lekarstwem na nostalgię jest powrót do ojczyzny.

Z PRZYJEMNOŚCIĄ stwierdzamy, że wśród literatów wyróżnionych przez jury tegorocznej nagrody „Odrodzenia" znajduje się nazwisko Joanny Żwirskiej autorki „Cieniów Ojczyzny" Z przyjemnością dlatego, że młoda pisarka debiutowała w r. 1946 w „Kamenie"

W NUMERZE TYM zamieszczamy kilka wierszy Mirosława Ochockiego. Miło nam, że ten pięknie zapowiadający się młody poeta, pełen surowego krytycyzmu dla swych utworów, z pasją walczący o nowy własny wyraz, debiutował w „Kamenie" Wiersze zamieszczone w „Twórczości" i „Kuźnicy" i te, w których posiadaniu jesteśmy, świadczą, że mamy tu do czynienia z najciekawszym bodaj wśród najmłodszej generacji talentem.

„ROK 1848" — Wydawnictwo Lubelskiego Oddziału Związku Zawodowego Literatów Polskich, Lublin, 1948. Rok 1848 był wielką nadzieją wyzwolenia ludów spod jarzma despotów. Geniusz Mickiewicza złączył irredentyzm polski z walką powszechną narodów o wolność i sprawiedliwość społeczną. Patronował w paryskiej redakcji „Trybuny Ludów" wielkim słowem, za którym szły czyny rewolucyjnej przemiany. Pod auspicjami Wieszcza w stulecie „Wiosny Ludów" a w 150-lecie jego urodzin Oddział Lubelski Z.Z.L.P. postanowił zbiorowo dać wyraz naukowego i literackiego hołdu epoce, z której narodziła się nowa Europa przyszłości. Profesorowie uniwersyteów polskich i literaci wespół z młodymi badaczami i pisarzami zbudowali księgę stanowiącą całość o konstrukcji jednolitej i wszechstronnej. Dogłębne wejrzenie w międzynarodową treść „Wiosny Ludów" i w polski głos — czyn Mickiewicza opromienia księgę uczuciowym odblaskiem poetyckiego wzlotu w krainę wiary, w człowieka. Księga lubelska pragnie stwierdzić swym wyjściem w świat przezwyciężenie czasów pogardy, chce pogłębić kult miłości ojczyzny i godności ludzkiej. Złożyły się na tę pracę utwory następujących autorów. Feliksa Araszkiewicza, Marii Bechczyc-Rudnickiej, Eugeniusza Gołębiowskiego, Tad. St. Grabowskiego, Wacława Gralewskiego, Wiktora Hohna, K. A. Jaworskiego, Stefana Kawyna, Juliusza Kleinera, Kaliksta Morawskiego, Jana Nagrabieckiego, Jana Parandowskiego, Aleksandra Semkowicza, Andrzeja Wojtkowskiego, Stefana Wolskiego, ks. Ludwika Zalewskiego, Zdzisława Żygulskiego i ks. Mieczysława Żywczyńskiego. Prócz tego do książki weszły przekłady z Angier'a, Hercena i wiersz Broniewskiego.

—fa—

KSIĄŻKI NADESŁANE DO REDAKCJI

Spółdz. Wydawn. „Wiedza" w Warszawie

Irving Stone: Pasja życia, 1948. A. J. Cronin: Gwiazdy patrzą na nas t. I i II (z wydawn. J. Przeworskiego) 1948. Henryk Murger: Sceny z życia cyganerii, 1948. Irena Jurgielewiczowa: Historia o czterech pstroczkach, 1948. Wolter: Tak toczy się światek, 1948. Tadeusz Borowski: Pożegnanie z Marią, 1948. Marek Sadzewicz: Oflag, 1948. Władysław Broniewski: Wiersze zebrane, 1948. Mark Twain: Jankes na dworze króla Artura, 1948. Maria Kuncewiczowa: Klucze, 1948. Karol Dickens: Powieść o dwóch miastach, 1948. Dr H. Wereszycki: Historia Polski 1864—1918 (Instytut Pamięci Narodowej), 1948. Janina Przeworska: Serce pod zgrzebnym płótnem, 1948. A. Dorabialska: Maria Skłodowska-Curie i Piotr Curie (Bibliteczka popularno-naukowa „Wiedzy" Nr 12) 1948. Iwan Turgeniew: Wiosenne wody, 1948. Jan Parandowski: Dafnis i Chloe, 1948. Walery Przyborowski: Myszy Króla Popiela, 1948. Żywot łazika z Tormesu, 1948. Stanisław Posner (Henryk Bezmaski): Z bliska i z daleka, 1948. Stefan Zweig: Gwiazdy ludzkości, 1948. Władysław Szafer: Marian Raciborski, obraz życia, twórczości naukowej i pracy społecznej (Biblioteczka popularno-naukowa „Wiedzy" Nr 13), 1948. Stanisław Kalinowski i Zofia Kalinowska: Magnetyzm ziemski (Biblioteczka popularno-naukowa „Wiedzy" Nr 14), 1948. Marx-Engels: Manifest komunistyczny, 1948.

Państwowy Instytut Wydawniczy

Władysław Broniewski: Wiersze warszawskie, 1948. Henryk Sienkiewicz: W pustyni i w puszczy, 1948. Elliot Roosevelt: W jego oczach, 1948. Konferencja Warszawska, 1948. Stanisław Wyśpiański: Noc listopadowa. Wyzwolenie 1948. Wydawnictwo zbiorowe pod redakcją Natalii Gąsiorowskiej: Wiosna ludów na ziemiach polskich 1948. Stefan Litauer: Dobrzy Niemcy 1948. Teatr — miesięcznik rok III Nr 3—4—5 1948.

I n n e

Maria Kuźmińska: Krwią pisane, — wiersze, skład gł. Oficyna Księgarska, Warszawa, 1948. Jadwiga Korczakowska: Pałac pod gruszą, Nasza Księgarnia, 1948. Jan Brzękowski: Odyseje, Paryż, 1948. Stanisław Czernik: Siedem nocy, Biblioteka Oddziału Wiejskiego Związku Zawodowego Literatów Polskich, Kraków, 1948. Henryk Zwolakiewicz: Bibliografia prac ks. dr Ludwika Zalewskiego, Lublin, 1947, Rok 1948, wyd. Związku Zawodowego Literatów Polskich (oddział lubelski), Lublin, 1948. Henryk Zwolakiewicz: Stan badań etnograficznych nad Lubelszczyzną, Lublin, 1948, Woj. Rada Kult. i Szt. Tow. Przyj. Nauk.

KSIĄŻKI NADESŁANE OSTATNIO

Wydawn. „Wiedza"

Max Daireaux: Kulisy zacnego żywota, 1948. J. B. Rychliński: Kulawy bosman, 1948. Karel Czapek: Hordubal 1948. A. Mickiewicz: Dziady wileńsko-kowieńskie, 1948. Stefan Arski: Cień nad ojczyzną Roosevelta, 1948. Roman Brandstaetter; Powrót syna marnotrawnego — dramat, 1948. Stanisław Krasowski: Watykan a Polska, 1948. Fryderyk Engels: Rozwój socjalizmu od utopii do nauki, 1948. Karin Michaelis: Dzieci z Nyhavn, 1948. Erich Maria Remarque: Łuk triumfalny nakł. II,

1948. Victor Hugo: Rok dziewięćdziesiąty trzeci. 1948. Olga Kuźniecowa: Wróg pod mikroskopem, 1948. Emil Zola: Germinal, t. I i II, 1948. Margaret Storm Jameson: Po drugiej stronie, 1948. Halina Górska: O księciu Gotfrydzie, 1948.

Wydawn. Wł. Bąka w Łodzi

Iwan Turgeniew: Dym, 1948. Iwan Turgeniew: Rudin, 1948. J. I. Kraszewski: Ostatni z Siekierzyńskich.

INNE

Mieczysław Rulikowski: Przyszłe teatry w Warszawie, Państw. Instyt. Wydawn. Warszawa. A. L. Morton: Dzieje ludu angielskiego, Państw. Inst. Wydawn. Warszawa, 1948. Zofia Nałkowska: Charaktery dawne i ostatnie, Państw. Inst. Wydawn. Warszawa, 1948. Henryk Batowski: Zwięzły zarys dziejów Słowiańszczyzny, Spółdz. Pracy i Użytkowników Z. O. U. „Czytelnik", Kraków, 1948. Henryk Batowski: Legion Mickiewicza a Słowiańszczyzna w r. 1948, Spółdz. Pracy i Użytkowników Z. O. U. „Czytelnik", Kraków, 1948. Kalendarz informator Polaka za granicą 1949, Poski Czerwony Krzyż. Eugeniusz Gołębiowski: Bajki, tomik I, Związek Zawodowy Literatów Polskich w Lublinie, 1948. Ewa Szelburg Zarembina: Polne grusze, Wielkopolska Księgarnia Wydawnicza, 1948.

KONKURS LITERACKI DLA PERIODYKÓW LITERACKO - ARTYSTYCZNYCH

W związku z Tygodniem Przyjaźni Polsko - Czechosłowackiej w marcu 1949 r. Ministerstwo Kultury i Sztuki nawiązało kontakt z Ambasadą Republiki Czechosłowackiej w sprawie zorganizowania w ramach „Tygodnia" konkursu dla czasopism społeczno - literackich na najlepszy numer poświęcony całkowicie Czechosłowacji.

Szczegółowe dane, dotyczące warunków i regulaminu konkursu zostaną podane do wiadomości w późniejszym terminie.

Redaktor: Kazimierz Andrzej Jaworski, Chełm Lub., Reformacka 43. Wydawnictwo: Zespół „Kameny". Administracja: Lublin, ul. Bronowicka 14 m. 4. Redakcja i Administracja w lipcu i sierpniu nie czynne Prenumerata roczna (rocznik X) 300 zł. Przyjmuje administracja.

CENA NINIEJSZEGO NUMERU 80 zł.

Druk. Nr 1 Spółdz. Wyd. „CZYTELNIK" Lublin Zamojska 24 A - 22652